My, dzieci sieci:

wokół manifestu

My, dzieci sieci:

wokół manifestu

My, dzieci sieci:

wokół manifestu

FUNDACJA
nowoczesna
Polska

Opracowanie zbioru:
Marta Skotnicka

Redakcja techniczna:
Aneta Rawska

Redakcja językowa i merytoryczna:
Dorota Kowalska

Treść książki jest udostępniona na licencji Creative Commons – Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach 3.0, http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0.

Obraz na okładce: Nina Matthews Photography@Flickr, CC BY 2.0.

ISBN 978-83-61730-06-4

Publikacja została zrealizowana w ramach projektu „Przyszłość prawa autorskiego" finansowanego przez Trust for Civil Society in Central and Eastern Europe.

Trust for Civil Society
in Central and Eastern Europe

http://ceetrust.org/

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa 2012

FUNDACJA
nowoczesna
Polska

http://nowoczesnapolska.org.pl/

PRAWO KULTURY

http://prawokultury.pl/

Spis treści

Wstęp 6

I 8

Agata Nowotny, Dorota Kabała: Gra w otwarte projekty. Dizajn i innowacje w dobie wolnych licencji 9

Urszula Pawlicka: Odnawialne źródła energii 15

Kuba Przybyłowski: Kiedyś było inaczej. Teraz jest lepiej. 21

Emanuel Kulczycki: Przepraszam, czy oprócz praw do mojego tekstu nie zechciałby Pan zabrać jeszcze moich organów? 25

II 28

Radek Czajka: Egzemplarz umarł 29

Paweł Kozioł: Sieć, w którą każdy łapie swoją Mongolię 32

Marta Klimowicz: Edukacja medialna dzieci sieci 35

Mirek Filiciak: Czekając na utopię 37

III 38

Sylwia Chutnik: Dzieci złapane w sieci 39

Maria Świetlik: ACTA — polityka i emocje 42

Roman Bromboszcz: Dzieci wideo. O pokoleniu i jego otoczeniu medialnym 47

Tamara Bołdak-Janowska: Modyfikacja: my i my 51

Piotr Czerski: My, dzieci sieci 60

Wstęp

Ciekawą zrobił karierę manifest *My, dzieci sieci* Piotra Czerskiego. Sposób publikacji i dalsze losy tego tekstu są tak samo znaczące, jak jego treść. Tekst pierwotnie opublikowany został w lokalnej, trójmiejskiej gazecie. Na dalekich kolumnach, bynajmniej nie była to jedynka. Jeszcze parę lat temu na tym by się skończyło. Jednak Czerski napisał manifest dzieci sieci, a nie galatyki Gutenberga. Skan tekstu szybko trafił na abstrakcyjną stronę służącą do szybkiego, niezobowiązującego dzielenia się plikami graficznymi. Nie Facebook, nie Instagram, nie Flickr, nie Twitter. Prosta, utylitarna pokazywarka. Plus goły tekst. Bez zadęcia. Bez ozdobników, wyrafinowanego liternictwa, z minimalnym formatowaniem. Tyle tylko, by nie przeszkadzać w czytaniu.

Przypadkowy adres tej nijakiej i brzydkiej strony nie miał w sobie nic zachęcającego: `http://pokazywarka.pl/pm1pgl/`. Powiedzmy sobie szczerze, nikt tak po prostu nie kliknie w taki link.

Czerski skupił się na rzeczach ważnych. Tekst zaczął krążyć, więc konieczne stało się udostępnienie go na licencji, która umożliwi legalne dalsze wykorzystanie. Nie żeby ktoś się tym przejmował specjalnie w kraju, zwłaszcza w pierwszych dniach lutego, które stały pod znakiem totalnej niezgody na restrykcje prawa autorskiego, ale przecież tu chodziło także o ideową *integrity*. Licencja była wolna i copyleftowa. Zezwoliła na swobodne wykorzystanie tekstu w dowolnym celu, z jednym kluczowym zastrzeżeniem — nikt nie mógł ograniczyć praw użytkowników do dalszego swobodnego korzystania z niego. Manifest stał się na każdym poziomie, także prawnym, dobrem wspólnym.

Wolna i copyleftowa licencja pozwoliła na swobodne tworzenie utworów zależnych — tłumaczeń! I te zaczęły się mnożyć, jedno po drugim. Najpierw angielski, a potem już z górki. Francuski, hiszpański, szwedzki, estoński, bułgarski, czeski, chiński, turecki, serbski, macedoński, rosyjski (to tłumaczenie zrobiono w biurze polskiego europosła!) i na koniec niderlandzki. W ten sposób Czerski znalazł się w nader ekskluzywnym gronie — jakich jeszcze polskich literatów tłumaczono na tyle języków? I choć wielkie portale oraz gazety o globalnym zasięgu publikowały ten manifest, to przecież większość czytelników dotarła do niego poza obiegiem instytucjonalnym — przez emajle, linki, wiadomości.

Tekst krążył dzięki sile swojego wyrazu. Dzięki właściwym słowom wypowiedzianym we właściwej chwili. Oraz dzięki właściwie dobranej licencji, która wymusiła określone zachowania instytucji. Tradycyjne media, choć bardzo tego nie lubią, tym razem musiały się na poziomie prawnym dostosować do niewyłącznej, demokratycznej logiki obiegu treści, która dla większości dzieci sieci jest faktem.

„Sieć jest dla nas czymś w rodzaju współdzielonej pamięci zewnętrznej. [...] Nie musimy także znać się na wszystkim, bo wiemy, gdzie odnaleźć ludzi, którzy znają się na tym, na czym my się nie znamy, i którym możemy zaufać. Ludzi, którzy podzielą się posiadanymi informacjami nie dla zysku, ale ze wspólnego dla nas wszystkich przekonania, że informacja żyje w ruchu, że chce być wolna, że na wymianie informacji wszyscy korzystamy. Każdego dnia: ucząc się, pracując, rozwiązując codzienne problemy, rozwijając pasje. Potrafimy i lubimy ze sobą konkurować, ale nasza konkurencja, pragnienie wyróżnienia się, ufundowane jest na wiedzy, umiejętności interpretowania i przetwarzania informacji — a nie na monopolu na nią" — pisze Czerski.

Ten monopol, nazywany sztucznie i kłamliwie „prawem", jest przeze mnie widziany jako najważniejsze zagrożenie dla ważnych dla mnie wartości: wolności słowa, swobody komunikacji, tajemnicy korespondencji, prawa do prywatności. W świecie społeczeństwa informacyjnego monopol jest już tylko formą cenzury. I właśnie dlatego manifest Czerskiego wydał nam się tak ważny.

Dlatego zebraliśmy w jedną pozycję kilkanaście głosów intelektualistów, głównie ze średniego pokolenia, którzy w ten czy inny sposób, mniej lub bardziej dosłownie, podjęli dialog z manifestem Czerskiego. Nie wyczerpuje to bynajmniej potrzeby dalszej dyskusji. Tekst Czerskiego jest gęsty i wielowątkowy nie tylko dlatego, że wymusza to literacka forma manifestu. Czerski świadomie czerpie z tradycji kilkudziesięciu lat refleksji nad siecią. Kiedy pisze, że „informacja chce być wolna", tym samym stawia nas przed całym wagonem cyberaktywistycznych tekstów. Chcemy, by ta debata trwała nadal.

Sieć przerosła świat na wskroś. Kimkolwiek jesteśmy i cokolwiek robimy, robimy to w relacji z siecią i w sieci. Dlatego nie możemy sobie pozwolić na brak refleksji nad siecią. Wśród zebranych przez nas tekstów są materiały literackie i postulatywne. Jest krytyka i analiza. Ale wszystkie one mają jeden cel: budować świat, który byłby choć trochę lepszy od tego, który mamy dziś. Ocalić to, co dobre, uniknąć zagrożeń, wyeliminować problemy. Czego i wam, i sobie serdecznie życzymy.

Jarosław Lipszyc

Fundacja Nowoczesna Polska serdecznie dziękuje autorom za ich wkład w powstanie niniejszego zbioru. Jesteśmy również wdzięczni naszemu sponsorowi, Trust for Civil Society in Central and Eastern Europe, który umożliwił nam realizację publikacji.

I

AGATA NOWOTNY, DOROTA KABAŁA

Gra w otwarte projekty. Dizajn i innowacje w dobie wolnych licencji

To, że można wydrukować zdjęcie jakiegoś autora lub odegrać jego utwór muzyczny na zasadach prawnie uregulowanych, nikogo nie dziwi, ale jeśli ktoś wyprodukuje samodzielnie stołek projektu danego twórcy, to zaczynamy mieć wątpliwości — czy to oryginał, czy kopia? Czy to nadal stołek tego projektanta, czy już wykonawcy? Kto odpowiada za jego sukces, a kto za możliwe błędy konstrukcyjne lub błędy wykonania? Te i podobne pytania rodzą się wraz z zastosowaniem zasad otwartych licencji w obszarze dizajnu. Pokazują zarazem anachroniczność naszego sposobu myślenia — nie tylko o prawie i własności intelektualnej, ale także o samej istocie twórczości, której prawne regulacje są przecież pochodną. Twórczość, projektowanie, reguły rynku i kultura konsumpcyjna — wszystko to zmienia się na naszych oczach wraz ze zmianami technologicznymi i nowymi możliwościami, jakie technologia nam daje. Cyfryzacja oraz rosnący dostęp do technologii CAM (komputerowe wspomaganie wytwarzania), w tym do druku 3D, to bodaj najsilniejsze czynniki zmian kulturowych. Ruch otwartego projektowania, otwartego dizajnu czy, z angielskiego: *open design*[1] — jest jednym z symptomów tych zmian.

Prognozuje się, że jeszcze długo nie wejdzie on do głównego nurtu. Podstawowe ograniczenia dotyczą bowiem możliwości rozwinięcia go do skutecznego modelu biznesowego. Mimo to istnieją firmy korzystające z założeń open design, choć trzeba zaznaczyć, że żadna z nich nie zarabia w pełni na siebie opierając się wyłącznie na tym modelu. Wiele inicjatyw w tym nurcie opiera się na finansowaniu z publicznych źródeł[2], część jest zasilanych pieniędzmi zebranymi dzięki finansowaniu społecznościowemu (ang. *crowdfounding*) lub funkcjonuje tylko i wyłącznie dzięki działalności pasjonatów (ang. *geek*). Mimo tych ograniczeń można zaobserwować, że coraz więcej osób sięga po rozwiązania typu *open design*. Z pewnością warto się temu zjawisku przyglądać, bo jak w soczewce skupia ono w sobie wiązki istotnych dla współczesnej kultury problemów i prowokuje do stawiania nowych, aktualnych, pytań.

W wielu kontekstach zasada otwartego projektowania wywraca bowiem do góry nogami dotychczasowy porządek: finansowania i zasad rynkowych dotyczących projektowania, regulacji prawnych i wszelkich konsekwencji z tym związanych, zasad współpracy i relacji projektanta z wykonawcami, producentami i odbiorcami.

Nasz tekst ma na celu przedstawienie kilku prawdziwych lub hipotetycznych, ale prawdopodobnych, sytuacji, które ujawniają pewne napięcia i stawiają ważne pytania w obszarze własności, produkcji i projektowania.

CZYJ TO PRODUKT? PROBLEMY ATRYBUCJI W CYFROWYM ŚWIECIE

Juan — projektant z Barcelony — zaprojektował komplet biżuterii. Projekty realizuje odpłatnie na zamówienie. Jednocześnie udostępnił pliki wykonawcze na swojej stronie internetowej stosując przy tym licencję Creative Commons. Wybrał najbardziej restrykcyjną z licencji: *Attribution-NonCommercial-NoDerivs CC BY-NC-ND* (Licencja

[1] O historii pojęcia *open design*, które powstało na przełomie XX i XXI wieku, więcej we wstępie do fundamentalnej dla tego nurtu książki *Open Design Now*.

[2] Zalążkiem tego typu działań jest inicjatywa pochodząca z bostońskiego Massachusetts Institute of Technology, a dokładnie Centrum Bitów i Atomów, gdzie w ramach kursu o znaczącym tytule *How to Make (Almost) Anything?*, opracowano ideę cyfrowej produkcji możliwej do wykonania w mobilnych laboratoriach (tzw. *FabLabs*). FabLaby wyposażone są w cyfrowe urządzenia produkcyjne pozwalające na wykonanie dowolnego przedmiotu (lub ich serii), co upraszcza produkcję, pozwalając na jej indywidualizację i personalizację. Zarazem odrywają wytwarzanie od wymogów i ograniczeń masowych producentów i podważają dotychczasowe fundamenty masowej produkcji.

analogiczna do polskiej wersji Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Polska. Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci, tj. nietworzenia utworów zależnych. Za: creativecommons.org, creativecommons.pl).

Juan zgodnie ze swoimi przekonaniami chciałby, aby osoby, których nie stać na zakup gotowej realizacji bezpośrednio u niego, mogły wejść w posiadanie biżuterii w inny sposób. Wystarczy, że zamiast pieniędzy zainwestują czas i umiejętności. Jednocześnie Juan chciał się zabezpieczyć przed wykorzystaniem jego projektu przez innych projektantów. Dlatego wybrał najbardziej restrykcyjną formę udostępnienia — pozwalającą na wykonywanie utworu w celach niekomercyjnych, pod warunkiem zachowania jego oryginalnej postaci i bez możliwości tworzenia utworów zależnych.

W trakcie projektowania kompletu biżuterii Juan zastanawiał się też nad tym, jak podpisać obiekty udostępniane na licencji. Z jednej strony chciałby, żeby każdy z elementów biżuterii był podpisany jego nazwiskiem jako autora, z drugiej strony wiedział, że podpis nie zmieści się na drobnych elementach, z jakich zbudowane są kolczyki, naszyjnik i bransoletka. Dołączenie metki z opisem nie wchodziło w grę, bo zepsułoby wartość biżuterii — zarówno użytkową, jak i estetyczną. Oznaczenie jest jednak dla Juana ważne, ponieważ dzięki temu promuje on swoją twórczość. Dlatego pomyślał, że stworzy kod QR, który umieszczany będzie na produktach przez osoby wykonujące je na zasadach licencji CC. Każdy, kto zobaczy obiekty z jego kolekcji (wykonane przez inną osobę) i zainteresuje się nimi, będzie mógł dotrzeć do jego strony internetowej. Juan przeprojektował obiekty tak, aby kod zmieścił się na nich i był czytelny. Jednocześnie jednak pomyślał, że idealnym dla niego rozwiązaniem byłoby, gdyby każdy obiekt mógł być rozpoznany po samym kształcie przez urządzenia elektroniczne (np. smartfona), których użytkownicy automatycznie łączyliby się ze stroną internetową autora.

Ta historia pokazuje, po pierwsze, jak zasady otwartego projektowania zmieniają dotychczasowy podział na kopie i oryginały, po drugie, jak zmieniają się reguły dostępności dóbr materialnych, po trzecie, jak zmieniają się zasady oznaczania autorstwa. Tytułowe pytanie tej części — o to, czyj to produkt, można więc interpretować dwojako. Z jednej strony jest to pytanie o własność — czyj jest produkt, skoro może wykonać go według wskazówek sam użytkownik? Z drugiej strony pytanie dotyczy tego, jak skutecznie komunikować lub oznaczać autorstwo projektu.

Pytanie o to, czyj jest produkt, w tej sytuacji nie tyle wymaga rozstrzygnięcia, co jest dla nas wskazaniem ciekawego tropu. Szukanie odpowiedzi prowadzi nas raczej do kolejnych pytań — o rolę projektanta we współczesnym świecie. Coraz bardziej jest oczywiste, że rola ta się zmienia. Zamiast popadać jednak w histeryczne generalizacje wieszczące upadek zawodu, należy się skupić raczej na opisaniu, na czym będzie ta nowa rola polegała. Ruch otwartego projektowania pokazuje, że jednym z możliwych kierunków ewolucji będzie przeniesienie akcentów z pracy nad zamkniętym projektem na projektowanie samego procesu projektowo-produkcyjnego. W tych nowych warunkach to zadaniem projektanta jest przemyślenie procesu realizacji produktu na podstawie projektu tak, żeby minimalizować możliwość błędów nawet przy założeniu, że obiekty będą powstawały w warunkach domowych, nie fabrycznych, i że zajmować się tym będą amatorzy, nie profesjonaliści.

Wraz ze zmianą roli projektanta następuje zmiana roli odbiorcy. Juan pozwala konsumentom bez pieniędzy, którzy w tradycyjnym rozumieniu nie powinni się w ogóle nazywać konsumentami, wchodzić legalnie w posiadanie produktu. Ci nowi konsumenci, którzy bywają nazywani też *prosumentami*, ale których być może lepiej nazywać *użytkownikami*, nie posiadają kapitału finansowego, ale dysponują innymi zasobami, jakimi są: czas i umiejętności potrzebne do wykonania produktu samodzielnie. Taka możliwość pozwala im ominąć tradycyjne progi wejścia dzielące poszczególne grupy społeczne. Wraz z tym przemieszczeniem, zmienia się podstawa społecznej stratyfikacji opartej na podziale ze względu na dostęp do pewnych dóbr. Nie należy się jednak spieszyć ze stwierdzeniem, że w ten sposób otwarte projektowanie znosi dotychczasową cechę dizjanu jako czegoś ekskluzywnego, na co stać nielicznych. Warto zauważyć, że choć faktycznie znosi przeszkody finansowe, buduje inne — oparte na kompetencjach i czasie. Zamiast do utopijnej

wizji dizajnu powszechnego, publicznego, dostępnego dla wszystkich (jak chcieliby autorzy Open Design Now), prowadzi nas to raczej w stronę myślenia o tym, jak zmieniają się dzisiaj kryteria luksusu, jak tworzone są nowe dystynkcje społeczne i dostęp do jakich zasobów różnicuje społeczeństwo.

CHODZI O PROJEKT, NIE O PROJEKTANTÓW — ZMIANA AKCENTÓW

Grupa projektantów: Maria, Olga, Linn, Tom i Max, mieszkających na różnych kontynentach, spotkała się na targach branżowych. Zainspirowani wzajemnie swoimi działaniami, postanowili wykonać wspólnie projekt mobilnego domu na podstawie swoich dotychczasowych projektów udostępnionych na licencjach CC. Każdy z projektantów kolejno modyfikował projekt, więc wszyscy są jego autorami. Wkład pracy poszczególnych osób nie był jednak równy. Dlatego zgodzili się co do tego, żeby zróżnicować zyski ze sprzedaży projektu. Zdecydowali, że zakładanie spółki działającej na międzynarodową skalę nie odpowiada ich potrzebom. Między innymi dlatego, że nie mają pewności co do wielkości zysków z projektu. Nie byli też zainteresowani szukaniem inwestora. Są młodymi architektami i projektantami, nie chcą wiązać się ze sobą jako zespół do stałej współpracy. Przede wszystkim zależy im na realizacji projektu, sprawdzeniu jego wartości użytkowej na skalę światową, a jeśli okaże się, że projekt jest wartościowy i odpowiada potrzebom wielu osób, wtedy chcieliby z niego czerpać zyski. Stworzyli świetną stronę internetową wraz z aplikacjami umożliwiającymi w łatwy sposób samodzielne wykonanie mobilnego domu. Zamierzali udostępnić projekt na zasadach otwartych np. licencji *Attribution-NonCommercial-NoDerivs CC BY-NC-ND* (analogicznej do polskiej licencji Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Polska), jednak miałaby ona jednocześnie umożliwiać dobrowolną wpłatę dowolnej kwoty jako wynagrodzenia dla autorów. Wyzwaniem było dla nich zbudowanie systemu rozliczeń, który pozwalałby na automatyczne rozliczanie każdej dotacji, dzieląc odpowiednio stawki pomiędzy autorów. Miał on każdą dotację dzielić procentowo: 30% dla Olgi, po 25% dla Toma i Maxa, po 10% dla Marii i Linn oraz od razu przekierowywać odpowiednie kwoty na konta autorów.

Twórcy zastanawiali się także, jak osoby realizujące mobilne domy na podstawie ich projektu miałyby podpisywać autorów, skoro jest ich pięciu i każdy z nich ma swoją firmę i stronę internetową. Najwygodniejszym rozwiązaniem okazało się oznaczenie umożliwiające dotarcie do strony internetowej projektu mobilnego domu, na której w wyraźny sposób zostaną opisani autorzy.

Coraz więcej tego typu rozwiązań stosowanych jest w podobnych sytuacjach, a to symptom większej zmiany. Taka decyzja twórców przesuwa zasadniczo akcent z nazwisk autorów na sam projekt. To projekt zyskuje autonomię (np. stronę internetową, nazwę) i rozgłos, pośrednio zapewniając sławę również swoim autorom. Dzięki tego typu rozwiązaniom odchodzimy od systemu „gwiazdorskiego", który promuje sławne nazwiska, w którym dizajnerzy stają się celebrytami, a zmierzamy ku systemowi bardziej merytorycznie doceniającemu realizacje i koncepcje.

KONSUMENT + PROJEKTANT + PRODUCENT = PROSUMENT

Producent produktów użytkowych, opierający swoje działania o filozofię *open design*, udostępnia użytkownikom pewną ingerencję w projekt torby. Każdy, kto chce zamówić torbę, może sam zaprojektować zestawienia barw. Anna zachwycona tym pomysłem tworzy swój własny zestaw: wybiera kolory i ich kombinację, a po skończeniu pracy wysyła zamówienie do producenta. Po kilku dniach otrzymuje gotową torbę. Wybiera się z nią na ważną konferencję, gdzie poznaje organizatora, który również zachwyca się obiektem i deklaruje, że chciałby zamówić kilkadziesiąt takich toreb jako upominki dla

uczestników kolejnego branżowego spotkania. Prosi więc o kontakt do producenta torby. Organizatorowi zależy na otrzymaniu toreb dokładnie w tym zestawie kolorystycznym, który stworzyła Anna. Producent przed realizacją zamówionych toreb staje więc przed pytaniem: czy zysk z zamówienia powinien być podzielony między projektanta torby, producenta i Annę, która wybrała kolory do tej konkretnej torby? Czy Anna posiada prawa autorskie do wykonanego obiektu?

Ta historia uczy producenta, żeby na stronie internetowej przy opisie projektu określić, na jakich zasadach dopuszcza użytkownika do tworzenia kolorystyki torby. Może na przykład zapisać, że wszystkie prawa do wykorzystania zestawów kolorystycznych, wybieranych przez konsumentów nabywających produkt, przechodzą automatycznie na niego.

Ta autentyczna sytuacja pokazuje, że trend, który uwzględniają już nie tylko niszowi producenci, ale także masowi producenci głównego nurtu, jakim jest prosumpcja, komplikuje dotychczasowe regulacje prawne. W sytuacji, kiedy konsument faktycznie współprojektuje i aktywnie przyczynia się własnymi decyzjami projektowymi (a nie tylko wykonawczymi) do ostatecznego wyglądu produktu, zmienia się nie tylko jego relacja z producentem, ale cały zestaw reguł prawnych.

Za faktem, że relacja producent-projektant-konsument zmienia się na bardziej partnerską, idzie konieczność prawnych regulacji dostosowanych do nowych wymogów. Opisany przykład jest jednym z nich.

OD KOOPERACJI DO INDYWIDUALIZACJI I Z POWROTEM

Projektant produktów użytkowych, Simon, zaprojektował taboret, a pliki wykonawcze wraz z instrukcją montażu (w postaci cyfrowej) udostępnił w sieci na licencji Creative Commons — Attribution-ShareAlike CC BY-SA (Licencja analogiczna do polskiej wersji Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Polska. Licencja ta pozwala na kopiowanie, zmienianie, rozprowadzanie, przedstawianie i wykonywanie utworu tak długo, jak tylko na utwory zależne będzie udzielana taka sama licencja. Jest to licencja używana przez Wikipedię i jej siostrzane projekty. Za: creativecommons.pl). Projekt Simona pobrał z sieci Pablo i, wykorzystując swoje doświadczenie w projektowaniu i realizacji mebli, przeprojektował łączenia w konstrukcji taboretu. Swój projekt udostępnił w sieci na tej samej licencji, na jakiej udostępniony był projekt Simona, i jednocześnie umieścił informację na temat pierwotnego autora projektu. Projekt Pabla odnaleźli w sieci Kasia i Piotr, którzy postanowili na jego podstawie zrealizować siedziska do swojego mieszkania. Zlecili znajomemu wykonawcy, Janowi, realizację kilku taboretów. Jan wpadł na pomysł, że zmieniając wielkość i proporcje taboretu, można wykonać na jego podstawie projekt stołu. Zmienił więc w ten sposób projekt autorstwa Simona i Pabla i również udostępnił go w sieci jako projekt stołu, z informacją, że powstał on w oparciu o projekt Simona i projekt Pabla. Uznał, że wkład obu był równie istotny. Simon był autorem odpowiadającym za formę, ale to zmiany wprowadzone przez Pabla zainspirowały do przekształcenia projektu taboretu w projekt stołu. Zrealizował więc dla Kasi i Piotra komplet kilku taboretów, z których każdy podpisał — zgodnie ze wskazówkami autorów — imionami i nazwiskami każdego z nich. Zrealizował również stół, na którym umieścił imiona i nazwiska Simona, Pabla i swoje. Projekt stołu Jan umieścił również w sieci, udostępniając go na tej samej licencji. Kolejno projekt modyfikowało jeszcze dwadzieścia osób, a każda dopisywała kolejnych autorów zgodnie z ich życzeniami i udostępniała projekty na tej samej licencji CC. Po ostatniej modyfikacji projekt miał już dwudziestu trzech współautorów, a każdy z nich został podpisany imieniem i nazwiskiem jako jedna z osób, które przyczyniły się do jego powstania w ostatecznej wersji. Podpisy były umieszczane bezpośrednio na każdym zrealizowanym fizycznym egzemplarzu i zajmowały łącznie powierzchnię ok. 20 x 10 cm.

W tym, hipotetycznym, ale prawdopodobnym przypadku widzimy, jak zasadniczo zmienia się koncepcja twórczości i autorstwa z nią związanego. Przywykliśmy do uznawania twórczości za indywidualny wysiłek, z czym wiąże się wiele konsekwencji — zarówno

tych pozytywnych (nagrody, sława, rozgłos, popularność, szacunek), jak i negatywnych (odpowiedzialność za porażki, błędy i niepowodzenia). Idzie za tym też wiele rozwiązań prawnych. Dopiero zasada *open source* (wolnego dostępu do źródeł: programów, projektów itp.) pozwala w pełni wykorzystać to, o czym socjologowie i badacze społeczni, piszą od kilkunastu lat — czyli siłę, mądrość i kreatywność wynikające ze współdziałania i dzielenia się pomysłami.

NAUCZKA Z OTWIERANIA

Niezależnie od tego, czy idea otwartego projektowania szybko osiągnie skalę masową, czy pozostanie jeszcze długo na marginesie rynku[3], jej rola i siła kulturowego oddziaływania jest potężna i nie sposób jej ignorować.

Cyfrowe technologie komunikacji i produkcji[4] zmieniają naszą rzeczywistość, wywracając stary porządek do góry nogami w o wiele większym stopniu, niż sobie z tego zdajemy na co dzień sprawę. Możliwości cyfrowej produkcji obiektów użytkowych zachwycają i rozbudzają wyobraźnię, lecz jednocześnie przytoczone przez nas historie pokazują część konsekwencji, jakie może nieść ze sobą powszechny dostęp do drukarek 3D czy też innych narzędzi i maszyn. Przytaczając różne możliwe bądź faktycznie zaobserwowane historie związane z otwartym projektowaniem, można uchwycić kilka problematycznych wymiarów i postawić kilka nowych pytań. Nadal jednak wiele wątków dyskusji, jaką te zmiany prowokują, to ślepe uliczki. Należą do nich na przykład przewijające się tu motywy opłacalności modelu biznesowego opartego na *open design* oraz legalności lub nielegalności pewnych praktyk związanych z tworzeniem i produkcją. Być może stawiamy nasze pytania w starym, odchodzącym już do lamusa paradygmacie, wychodząc od zasad rynku kierującego się finansowym zyskiem, opartego na masowym przemyśle i kulturze konsumpcyjnej z jasnym podziałem ról na producentów i konsumentów oraz na kulturze analogowej twórczości, gdzie różnice między kopiami i oryginałem były jasne i niepodważalne. Być może dzisiaj trzeba poszukać radykalnie innych pytań — zastanowić się nad samym modelem rynkowym i systemem finansowym oraz trybem cyrkulacji treści i wytworów kultury (zarówno na poziomie software'u, jak i hardware'u[5]). Być może to jeszcze „pieśń przyszłości", ale już dzisiaj słyszymy jej początki. Korzystając z otwartych, wolnych licencji, projektanci zyskują możliwość rozwoju poprzez dzielenie się wynikami swojej pracy, uzupełnianie się, wzajemne ulepszanie, inspirowanie oparte na zasadach poszanowania autorstwa. Zyskują też zupełnie nowy rodzaj wpływu i oddziaływania na rynek zbytu swoich produktów, o czym opowiadała pierwsza historia, której bohater korzystał z licencji CC BY-NC-ND, nie w pełni wolnej ani otwartej, ale pozwalającej konsumentom bez kapitału finansowego na wejście w posiadanie autorskiego produktu.

Na pozór wolne licencje oddalają projekt od projektanta czy twórczość w ogóle od twórcy. Ale jeśli przyjrzeć się temu bliżej, tak, jak starałyśmy się to wykazać, opowiadając kilka historii, działanie jest przeciwne: nie będzie przesadą stwierdzenie, że wolne licencje przywracają twórcom ich twórczość, zmniejszają dystans między projektantem a finalną wersją produktu, tym samym zbliżając też do siebie projektanta i użytkownika.

BIBLIOGRAFIA

Anna Nacher, *Biegać, skakać, latać, pływać — zmieniać, wdrażać, udostępniać*. W: *2+3D* nr 45/2012.

Medialab. Instrukcja obsługi, Fundacja Ortus, Chrzelice 2011. Red.: Mirek Filiciak, Agata Jałosińska, Alek Tarkowski. Dostępny w internecie: `http://labkit.pl/wp-`

[3]O kulturowej roli i znaczeniu ruchu *open design* pisze Anna Nacher w artykule *Biegać, skakać, latać, pływać — zmieniać, wdrażać, udostępniać*, opublikowanym w *2+3D* nr 45/2012.

[4]Ciekawe, że współcześnie konwergencja dotyczy już nie tylko mediów komunikacji, ale także technologii produkcji i tego, co nazywamy zwykle hardware'em. Cyfrowa produkcja (*digital fabrication*), której efektem są materialne obiekty, oparta jest na kodzie — podstawowym języku elektronicznych mediów komunikacji.

[5]O działaniu ruchu Open Source Hardware ciekawie pisze Andrew Back w tekście *Wprowadzenie do Open Source Hardware* w: *Medialab. Instrukcja obsługi*.

content/uploads/2011/12/Medialab.-Instrukcja-obs%C5%82ugi.pdf, dostęp 11.12.2012.

http://fab.cba.mit.edu, dostęp 11.12.2012.

Open Design Now. http://opendesignnow.org/index.php/article/preface-bas-van-abel-lucas-evers-roel-klaassen/, dostęp 11.12.2012.

http://www.opendesign.com/, dostęp 11.12.2012.

URSZULA PAWLICKA

Odnawialne źródła energii

W manifeście *My, dzieci sieci* Piotra Czerskiego po raz pierwszy zostało wprost powiedziane, jaką rolę pełni internet w obecnym życiu człowieka. O „dorastaniu z siecią i w sieci" szczególnie opowiedzieć mogą roczniki 90., dla których naturalnym procesem jest ściąganie filmów z The Pirate Bay i książek z Chomikuj.pl. Dominika Ożarowska (r. 91') w powieści *Nie uderzy żaden piorun*[1] opisuje cykliczne „posiadówki" przyjaciół, którzy wspólnie oglądają filmy na komputerze, opowiada też o tym, jak brat głównej bohaterki miewa rozterki emocjonalne po zabiciu trzech simsów. Z kolei Dominika Dymińska (r. 91') w (autobiograficznej) książce *Mięso* wyznaje: „Mama już śpi. Mogę usiąść do komputera. Kabel jest. Ale nie ma internetu. Wi-fi jest wyjęte z USB. Dostaję ataku paniki. Nie mogę spać całą noc"[2]. W innym miejscu opisuje internet jako źródło wiedzy biologiczno-seksualnej: „Wpisuję w wyszukiwarkę «włosy wokół brodawek». Czytam gdzieś, że to normalne"[3].

Dla najmłodszego pokolenia internet jest przedłużeniem rzeczywistości, a każda chęć naruszenia czyjejś prywatności jest odbierana jako atak na wolność: „słowa, dostępu do informacji, kultury". Dostęp do sieci jest równoznaczny z dostępem do wiedzy, możliwość korzystania z tekstów zamieszczonych w internecie jest równoznaczna z prawem do ich generowania. Kultura uczestnictwa, remiksu i cytatu dowodzi, że kultura jest w stanie przetrwać właśnie dzięki postprodukcji, czyli produkowaniu rzeczy z wcześniej już wyprodukowanych. Tradycja będzie odnawialna, jeśli zmieni się prawo „wytwarzania energii ze źródeł odnawialnych". Nie może być tak, jak w przypadku siedemnastoletniej Helene Hegemann, która w 2010 roku wydała książkę *Axolotl Roadkill* i szybko okrzyknięta została geniuszem, by zaraz potem usłyszeć oskarżenia o plagiat. Okazało się, że praktycznie całe zdania i sytuacje zaczerpnęła z dwóch tytułów: *Strobo* i *Berghain*. Autorka tłumaczyła się słowami: „Jeśli moje dzieło ma reprezentować swój czas, to musi być rozpoznawane jako powieść tworzona w zgodzie z tym, czego doświadczaliśmy ostatniej dekady, czyli odrzuceniem wszelkich obostrzeń prawa autorskiego i umocnieniem się racji do kopiowania oraz przetwarzania"[4]. „Afera Hegemann" dowiodła, że to, co dla wstępującego pokolenia jest procesem spontanicznym, dla innych jest naruszeniem prawa autorskiego. Carl Hegemann (niemiecki dramaturg, ojciec autorki) stwierdził, że „Rzeczywistość nie może zostać wynaleziona, lecz jedynie wydobyta przez 'uczestników' jakiejś kultury"[5]. Okazuje się, że na samodzielne wydobywanie „energii" trzeba mieć niejedno pozwolenie.

Przeciwstawienie sieci kablowych — sieciom bezprzewodowym jest analogiczne do opozycji energii nieodnawialnej i odnawialnej. Pierwszy rodzaj wiąże się z kontrolą, zależnością i systemowością, drugi zaś — z wolnością, samowystarczalnością i przede wszystkim z bezgranicznością. Tradycja literatury powinna być dla społeczeństwa źródłem odnawialnym, czymś, z czego można czerpać „energię", inspirację i wiedzę; czymś, co można przerabiać, by wykreować nowy tekst kultury. Celem wolnego dostępu do „literackich zasobów naturalnych" jest „odtwarzanie przeszłości dla przyszłości"[6], jak słusznie ujął Lawrence Lessig w *Wolnej kulturze*.

Przedmiotem niniejszego szkicu nie jest opisanie, jak zbudować kolektory słoneczne czy jak uzyskać zgodę na postawienie wiatraków w ogrodzie. Jest nim natomiast wskazanie działań literackich w środowisku internetowym, które przyczyniają się do rozwoju literatury właśnie poprzez procesy odnawialne. Celem jest próba syntetycznego przedsta-

[1] D. Ożarowska, *Nie uderzy żaden piorun*, Kraków 2010.

[2] D. Dymińska, *Mięso*, Warszawa 2012, s. 35.

[3] D. Dymińska, *Mięso*, Warszawa 2012, s. 30.

[4] Ł. Badula, *Niemiecka Masłowska i jej pisarski sampling*, 18.02.2010. Dostępny w internecie: `http://kulturaonline.pl/niemiecka,maslowska,i,jej,pisarski,sampling,tytul,artykul,8369.html`, dostęp 18.11.2012.

[5] D. Pilz, *Helene Hegemann, sztuka kopiuj-wklej*, 11.02.2010. Dostępny w internecie: `http://www.presseurop.eu/pl/content/article/188241-helene-hegemann-sztuka-kopiuj-wklej`, dostęp 18.11.2012.

[6] L. Lessig, *Wolna kultura*, przeł. P. Białokozowicz [i in.], Warszawa 2005, s. 142.

wienia zmian, jakie zaszły w kulturze pod wpływem internetu oraz tym samym wskazanie problemu „wąskiego gardła", czyli przeszkód uniemożliwiających kulturze mieć „długi ogon". Ta metafora Chrisa Andersona daje do zrozumienia, że prawo nie nadąża za błyskawicznie rozwijającą się kulturą, w efekcie doprowadzając do sytuacji, w której „to, co wcześniej było jednocześnie niemożliwe i nielegalne, teraz jest po prostu nielegalne"[7] (jak trafnie zauważa Lessig), i wywołując tym samym w uczestnikach kultury poczucie konsternacji, zwątpienia czy strachu. A przecież nowa kultura to nowa gospodarka, polegająca na „otwartości, partnerstwie i wspólnocie zasobów"[8].

Boom innowacyjności kulturowej, opartej na aktywnym uczestnictwie odbiorców w jej wytwarzaniu, dostrzega się wraz z pojawieniem się mediów społecznościowych, a przede wszystkim portali, dynamicznie zmieniających różnorodne relacje. Google, Wikipedia, YouTube, Facebook, Soup[9] i inne strony oparte na poście, repoście, remiksie czy współpracy doprowadziły m.in. do następujących przekształceń, wskazanych przez Paula Levinsona: „każdy konsument jest jednocześnie producentem", „autentyczność wynikająca z braku profesjonalizmu", „sam wybierasz swoje medium" oraz „informacja jest celem, a nie formą przekazu"[10]. Wymienione zmiany podkreślają aspekt wolności każdego użytkownika, który po pierwsze, chce mieć dostęp do wiedzy; po drugie, chce sam ją odnaleźć, bez pomocy pośredników; po trzecie, chce otrzymać ją natychmiast, stąd płynnie surfuje między różnymi portalami; po czwarte, chce mieć możliwość wyboru, w jaki sposób ją otrzyma (książka drukowana czy e-book) oraz po piąte, chce ją wzbogacać i przede wszystkim dzielić się nią. Nawet jeśli absurdalne wydaje się wprowadzenie przez Levinsona pojęcia „nowe nowe media", to jednak jest istotne, gdyż spektakularnie i prowokacyjnie sygnalizuje modyfikacje, zachodzące w nowych mediach społecznościowych. Termin ma zwrócić uwagę na przekształcenia w społeczeństwie sieciowym, które wymagają jednocześnie nie tylko zmian prawnych (warto przywołać ponownie słowa Lessiga: „nadmierna regulacja dławi kreatywność"[11]), lecz — przede wszystkim — edukacyjnych, o których będzie mowa w dalszej części tekstu.

Czas przyjrzeć się obszarom funkcjonowania literatury w internecie, jednocześnie zwracając uwagę na sposób kształtowania tekstu pod wpływem sieci.

Egzemplifikacją kultury uczestnictwa jest zjawisko *self publishing*, pokazujące, że każdy może być pisarzem i wydać swoją książkę bez udziału wydawnictwa. Publikacja, drukowana czy elektroniczna, staje się częścią obiegu literackiego. Autorstwo może mieć także charakter kooperacyjny, co wiąże się z budowaniem wspólnoty sieciowej i poczuciem przynależności do grupy. W 2011 roku z okazji Światowego Dnia Książki powstał e-book napisany przez użytkowników Facebooka pt. *O książkach i czytaniu. Zbiór cytatów*[12], wydany przez Bezkartek.pl Self Publishing. *Płomień śmierci*[13] z kolei to tytuł e-booka pisanego wspólnie na platformie projektino.com, którego efekty publikowane były na Facebooku.

Serwisy społecznościowe przyczyniają się nie tylko do nawiązywania kontaktów, powstawania grup i popularyzacji pewnych treści, lecz także do wygenerowania nowych odmian literackich, których poetyka wyznaczana jest przez właściwości danego portalu. Doskonałym przykładem jest twitteratura, czyli literatura powstająca na Twitterze, który ze swoim ograniczeniem do 140 znaków ze spacjami okazał się inspiracją do rozwoju mikroprozy zwanej Twitter Fiction. W twitteraturze wyróżnić można dwa zakresy dzia-

---

[7] L. Lessig, *Remiks. Aby sztuka i biznes rozkwitały w hybrydowej gospodarce*, przeł. R. Próchniak, Warszawa 2009, s. 47.

[8] Ł. Gołębiewski, *E-książka/Book. Szerokopasmowa kultura*, Warszawa 2009, s. 90.

[9] O portalu Soup.io zob. m.in. `http://www.wiadomosci24.pl/artykul/konkurencja_dla_facebooka_soup_portal_dla_alternatywnych_169042.html`, dostęp 12.12.2012. Red. WL.

[10] P. Levinson, *Nowe nowe media*, przeł. M. Zawadzka, Kraków 2010, s. 11-18.

[11] L. Lessig, *Wolna kultura*, s. 227.

[12] *O książkach i czytaniu. Zbiór cytatów.* [e-book], red. K. Cymbalista-Hajib, 2011. Dostępny w internecie: `http://www.bezkartek.pl/ti-v-ti170659/Ebook_O_ksiazkach_i_czytaniu_Zbior_cytatow.jsf`, dostęp 18.11.2012.

[13] *Płomień śmierci* [e-book], red. N. Nowak [i inni], 2012. Dostępny w internecie: `http://www.bezkartek.pl/ti-v-ti173996/Ebook_Plomien_Smierci/Self_Publishing_BEZPLATNE_E_BOOKI_Literatura_piekna_i_lektury/Janusz_Szopka_Marta_Rajska_Izabela_Jankowska_Alicja_Gunther_Dariusz_Drozdzik_Adrian_K_Antosik_Nina_Nowak.jsf`, dostęp 18.11.2012.

łalności literackiej: pierwsza wiąże się z tworzeniem własnej mikropowieści, druga zaś polega na skracaniu klasyki do kilkunastu tweetów[14].

Podsumowaniem drugiej aktywności jest wydana w 2009 roku książka *Twitterature. The World's Greatest Books Retold Through Twitter* (wyd. Penguin Books) autorstwa Alexandera Acimana i Emmetta Rensina — dwóch dziewiętnastoletnich studentów z Uniwersytetu Chicago, którzy „skrócili" pozycje z literatury klasycznej do ok. 20 tweetów. Książka jest ciekawym przykładem przekształcania klasyki, polegającym na napisaniu jej na nowo, dostosowując tekst do warunków Twittera i wykorzystując funkcjonujące zasady *netspeaku*[15]. Aciman i Rensin pokazali, że „tweetując tradycję", stają się częścią kultury popularnej i uczestniczą w dyskursie przeciwstawiającym się kanonowi literackiemu. Udowodnili również, że klasyką można się bawić, nie dążąc do komponowania dzieła wybitnego, lecz koncentrując się wyłącznie na przyjemności z generowania nowych znaczeń.

Niezgodą na schemat fabularny i autorytarność pisarza są *fanfiki*, czyli twórczość pisana przez fanów. Potteromania przyczyniła się do popularyzacji i rozwoju różnych odmian *fan fiction*. Historie alternatywne, kontynuacyjne, poboczne czy mające aspiracje do *spoilowania* (zdradzania szczegółów) kolejnej części utworu, są kwintesencją aktywnego udziału czytelników w rozkwicie literatury w sieci i świadectwem tego, że książka pobudza i zachęca do kreatywnego pisania własnych scenariuszy.

Podział między fikcją a fan fikcją powstał w momencie dyskusji o prawach autorskich, których niejasne określenie przyczynia się do hamowania publikacji tekstów pisanych przez fanów (niepewność czytelników dotycząca granicy, za którą dochodzi do naruszenia praw autorskich, dostrzega się w postach na forach internetowych, gdzie użytkownicy pytają m.in. o to, czy można legalnie zapożyczyć tło z innej powieści). Szum dotyczący naruszenia praw autorskich przez fanów pojawił się wokół książki *Harry Potter* J. K. Rowling, która popiera aktywność odbiorców, dopóki nie grozi to utratą jej zysków. Interesującym przykładem jest sprawa wydania słownika *HP Lexicon*, porządkującego fakty z *Harrego Pottera*. Czytelnik Steve Vander Ark założył stronę internetową, na której w formie encyklopedii syntetyzował wiedzę o powieściowych przygodach czarodzieja. Aktywność fana spotkała się z życzliwym przyjęciem przez Rowling. Jednak w momencie, kiedy leksykon został opublikowany w formie drukowanej przez wydawnictwo RDR Books, Rowling oskarżyła je o naruszenie praw autorskich. Sąd przyznał jej rację, stwierdzając, że wydawcy słownika nie kierują się zasadą „fair use" i publikacja mogłaby stanowić plagiat jej pracy, a w konsekwencji przyczynić się do spadku sprzedaży jej powieści[16].

Do rozwoju kultury uczestnictwa przyczynia się zjawisko konwergencji[17], czyli przepływu treści między odmiennymi platformami medialnymi oraz łączenie w spójną całość różnego rodzaju przekazów. „Efekt rozlewania" wyraźnie widać w fenomenie wspomnianej już potteromanii — obok książki pojawiły się filmy, gry komputerowe, gadżety, fanfiki, zloty fanów itd. Mechanizm przystosowywania treści do innych obszarów kultury pozwala, z jednej strony, na obcowanie z utworem pod postacią najbliższą odbiorcy, z drugiej zaś, angażuje społeczność do generowania nowych postaci dzieła i tym samym do wzbogacenia kultury.

Odnawianie tradycji możliwe jest natomiast dzięki technikom adaptacji i remiksu — pierwsze modernizują dzieło, przekładając je na inny język artystyczny, drugie zaś totalnie go dekonstruują, modyfikują i dekontekstualizują.

Remiks podkreśla specyfikę współczesnej kultury, przyjmującej postać archiwum. Z literackiej bazy danych użytkownik wybiera elementy, które miksuje, by wygenerować nową jakość semantyczną. Egzemplifikacją jest powstały w 2010 roku program Leśmia-

[14]Więcej: U. Pawlicka, *Romans literatury z Twitterem*, 24. 10.2010. Dostępny w internecie: `http://niedoczytania.pl/romans-literatury-z-twitterem/`, dostęp 16.11.2012.

[15]Więcej: U. Pawlicka, *O kontrowersyjnej stronie twitteratury*, 19.11.2010. Dostępny w internecie: `http://niedoczytania.pl/o-kontrowersyjnej-stronie-twitteratury/`, dostęp 16.11.2012.

[16]S. Lipoński, *Jak utopiono „Harry Potter Lexicon"*, 20.09.2008. Dostęp w internecie: `http://www.wiadomosci24.pl/artykul/jak_utopiono_harry_potter_lexicon_76619.html`, dostęp 18.11.2012.

[17]H. Jenkins, *Kultura konwergencji. Zderzenie starych i nowych mediów*, przeł. M. Bernatowicz, M. Filiciak, Warszawa 2007.

nator, pozwalający użytkownikom na stworzenie własnego „wierszmiksa". Odbiorca sam decyduje o tym, co „wrzuca do miksera", a następnie za pomocą jednego kliknięcia „pisze utwór". Ideę miksowania spopularyzował także projekt „Remiksujemy pozytywizm", realizowany w 2010 roku przez Korporację Ha!art, w którym poeci przerabiali wiersze Asnyka, Konopnickiej czy Faleńskiego. Z kolei w 2011 roku za sprawą Fundacji Internet oraz Koła Medioznawców UJ odbył się konkurs na remiks literacki „Remikstura" oraz konferencja poświęcona tej metodzie[18]. Ponad 100 nadesłanych wierszy dowiodło, że remiksowanie jest esencją współczesnej kultury, opartej na komendzie Ctrl+C, Ctrl+V. Natomiast od sierpnia 2012 roku Narodowy Instytut Audiowizualny umożliwił zremiksowanie wiersza *lanugo* Joanny Mueller. Na ekranie pojawiło się sześć zestawów z wersami, w które należało kliknąć, by „wylosować" konkretne wyrażenia. Poszczególne wygenerowane wersy składały się na utwór odczytywany przez Olgę Szymulę. Każdy remiks można było nagrać i wysłać znajomemu[19]. „Uwolnienie" *lanugo* oraz propozycja udziału w zabawie miksowania utworu, idealnie wpisała się w założenia terminu „kultura 2.0", zdefiniowanego przez Narodowy Instytut Audiowizualny w kategoriach uczestnictwa, interaktywności, otwartości, konwergencji mediów i form medialnych, remiksu i archiwizacji[20]. Kultura 2.0 zakłada zatem otwarty udział społeczeństwa w jej rozwoju.

Remiksy wiążą się nie tylko z wygenerowaniem nowych tekstów, nie mających już związku z materiałem wyjściowym. Ich celem jest przede wszystkim polemika z tekstem modyfikowanym, uwspółcześnienie pewnych założeń ideowych, które wydają się nadal funkcjonować, bądź wytworzenie znaczeń, zachęcających do dalszych przeróbek. Internetowe memy są dowodem na to, że w „kulturowym *soupie*" wszystko można przekształcić metodą *bricolage'u*. Estetyka spamu z kolei dowodzi, że współczesna narracja powstaje na styku zlinkowanych niespójnych treści, pochodzących z różnych stron internetowych. Produkcja tekstów staje się bardziej postprodukcją, polegającą nie na wytwarzaniu, lecz na wydobywaniu i łączeniu tego, co już wyprodukowane. Ilustracją są dwa zwycięskie utwory w Internetowym Turnieju Jednego Opowiadania, organizowanym przez Korporację Ha!art: *Agnieszka*[21] Jacka "PICU" Kramarskiego i Tomasza Jana Brzyszki oraz *dreszcz i drętwienie*[22] Bronka Olachowskiego — oba stanowiące zlepek „wykopanych" popkulturowych fabrykatów.

Turniej Elektrybałtów, zorganizowany przez Fundację Nowoczesna Polska w 2011 roku, polegał na opracowaniu programu, generującego wiersze na podstawie remiksowanych tekstów literackich znajdujących się w bibliotece internetowej Wolne Lektury. Najważniejszą jednak cechą konkursu było udostępnienie na wolnej licencji GNU AGPL kodu źródłowego, który mógł być dopisywany czy modyfikowany przez użytkowników. „Dłubanie" w kodzie programu stanowi analogię wolnego dostępu do tradycji, eksplorowanie jej bazy z jednoczesną możliwością przekształcania wybranych zasobów.

Obok remiksu pojawiają się także adaptacje cyfrowe, których realizacja ograniczona jest prawami autorskimi. Bezpiecznie jest zatem wizualizować czy przełożyć utwór dostępny w domenie publicznej, jak na przykład animacyjna prezentacja *Marszu*[23] Brunona Jasieńskiego w wykonaniu grupy Twożywo czy interaktywny audiobook *Antek*[24] Bolesława Prusa wydany przez Orange Labs i Telekomunikację Polską. Zbyt długo trwające prawa autorskie (70 lat po śmierci twórcy) uniemożliwiają wykonywanie artystyczno-

[18]Podsumowaniem konferencji „Ars Electronica: Remixed & Remastered", zorganizowanej przez Instytut Sztuk Audiowizualnych UJ, Koło Naukowe Medioznawców UJ i Fundację Internet jest publikacja: *Remiks. Teorie i praktyki*, pod red. M. Gulika, P. Kaucz, L. Onaka, Kraków 2011. Udostępniony w internecie: `http://ść-ch.pl/remiks-teorie-i-praktyki/`, dostęp 18.12.2011.

[19]*Wiersz lanugo Joanny Mueller w Twoim remiksie*, 28.08.2012. Dostępny w internecie: `http://www.nina.gov.pl/kultura-2_0/na-przyk%C5%82ad/artyku%C5%82/2012/08/28/wiersz-lanugo-joanny-mueller-w-twoim-remiksie`, dostęp 18.11.2012.

[20]Więcej: *Kultura 2.0. Miejsce rozmowy*: `http://www.nina.gov.pl/kultura-2_0/tematy`, dostęp 19.11.2012.

[21]J. "PICU" Kramarski, T. J. Brzyszko, *Agnieszka*. Dostępny w internecie: `http://zespol-filmowy.webuda.com/agnieszka/`, dostęp 18.11.2012.

[22]B. Olachowski, *dreszcz i drętwienie*. Dostępny w internecie: `http://dreszcz.soup.io/`, dostęp 18.11.2012.

[23]Twożywo, *„Marsz" Brunona Jasieńskiego*, 12.2010. Dostępny w internecie: `http://www.twozywo.art.pl/twzw.php?4cyf`, dostęp 18.11.2012.

[24]Orange Labs, Telekomunikacja Polska, *Antek* Bolesława Prusa [audiobook]. Dostępny w internecie: `http://nowyantek.pl/`, dostęp 18.11.2012.

-medialnych adaptacji dzieł, które właśnie w spektakularnej formie miałyby szansę zaistnieć w świadomości społeczeństwa. Od stycznia 2012 roku do domeny publicznej trafiła twórczość Jamesa Joyce'a — co dla jednych było sukcesem, gdyż wiązało się z możliwością przekładania i różnorodnego wykorzystania jego dzieł, dla innych było zagrożeniem utraty wartości jego pisarstwa[25]. W 2013 roku „uwolniona" zostanie twórczość Brunona Schulza i już teraz można domyślać się, że powstanie szereg adaptacji i remiksów.

Nielegalne ściąganie dzieł nienależących do domeny publicznej absurdalnie przypomina stosowanie niezgodnych z prawem metod w celu zdobycia wiedzy. Dostęp do książki zyskuje postać „potajemnego" kliknięcia „Pobierz" i „Zapisz". Dlatego też warto poprzeć działania społeczne mające na celu promowanie czytania w internecie, by udowodnić, że dostęp do książek w sieci jest konieczny. Akcja „Wolni pisarze. Wolne pisarki"[26] zachęca do lektury utworów znajdujących się w domenie publicznej. Uwspółcześniony wizerunek Jana Kochanowskiego ze słuchawkami do iPoda i hasło „Jestem wolny, spotkajmy się w internecie" — humorystycznie zapraszają do „czatowania z tradycją literacką".

Dzięki takim akcjom społecznościowym, projektom adaptującym klasykę oraz działalności fanów, literatura może być nie tylko „zapisana na dysku", lecz przede wszystkim „odświeżana".

Opisane zjawiska literackie w sieci pełnią różne funkcje, na które warto zwrócić uwagę, by zrozumieć istotność wolnego dostępu do treści. 1) Funkcja edukacyjna — związana z otwartym dostępem do lektur, poznawaniem tradycji, kreatywnym pisaniem, rozwijaniem umiejętności twórczych, wyrabianiem własnego stylu pisarskiego itd. 2) Socjalizacyjna — społeczności fanowskie dają poczucie przynależności grupowej. 3) Rozrywkowa — polegająca na popkulturowym przerabianiu tekstów i ich „repostowaniu" w celach ludycznych. 4) Krytyczna — zakładająca polemikę z utworem pierwotnym i własną ekspresję. 5) Artystyczna — kładąca nacisk na poszukiwanie nowych form i stylów poprzez wykorzystywanie i modyfikowanie istniejących już języków czy estetyk. 6) Metatekstowa — wskazuje na samą technikę generowania dzieła, za pomocą której ono powstaje (Leśmianator, miksując dzieła, podkreśla jednocześnie znaczenie kultury remiksu i ważność wolnego dostępu do tekstów). 7) Autokreacyjna — na proces kreowania tożsamości użytkownika składa się to, co dany odbiorca tworzy, jaką metodę stosuje, gdzie publikuje itd.

Otwartość jest zatem jedną z najważniejszych cech współczesnej kultury. Jednak jak zostało już wspomniane — dla pokolenia wychowanego z siecią i w sieci dostęp jest czymś naturalnym i banalnym. Podczas gdy jedni będą zastanawiać się, czy ściągnąć nielegalnie umieszczoną książkę z Chomikuj.pl, drudzy bez zastanowienia to uczynią, gdyż będą kierować się założeniem, przytaczając z manifestu Czerskiego: „Dlaczego mielibyśmy płacić za dystrybucję informacji, którą można błyskawicznie i perfekcyjnie skopiować, nie zmniejszając przy tym ani na jotę wartości oryginału?". Istotnym obecnie problemem jest to, że — mówiąc słowami Jenkinsa — „Nikt z nas tak naprawdę nie wie, jak żyć w epoce konwergencji mediów, zbiorowej inteligencji i kultury uczestnictwa"[27]. Jak korzystać z bogactwa sieci? Kiedy można użyć polecenia „download"? Kiedy technika Ctrl+C, Ctrl+V jest legalna? Jak zadbać o własne prawa autorskie? Jak uzyskać dostęp do książki wycofanej z obiegu wydawniczego? Kiedy i w jakim stopniu można zremiksować postmodernistów? Jaka jest różnica między Creative Commons a Open Source? Kiedy kończy się działalność komercyjna, a zaczyna publiczna?

Na ten szereg ważnych pytań, wydający się być zestawem błahych wątpliwości, powinny przyjść odpowiedzi, które przede wszystkim powinny być poprzedzone zmianami, aby otwartość współczesnej kultury wiązała się ze świadomym uczestnictwem, opartym na możliwości dokonywania wyboru.

Najważniejsze modyfikacje winny dotyczyć: ujęcia własności w sieci, skrócenia czasu trwania praw autorskich, redefinicji kategorii „autora", dążenia do obniżenia cen e-booków i zwiększenia ich wyboru, standaryzacji formatów książek elektronicznych oraz starań o wyeliminowanie „cyfrowego wykluczenia".

---

[25] Zob. J. Derkaczew, *Ulisses na wolności*, „Gazeta Wyborcza" (on-line) 02.01.2012. Dostępny w internecie: `http://wyborcza.pl/1,75475,10900513,Ulisses_na_wolnosci.html`, dostęp 19.11.2012.

[26] „Wolni pisarze. Wolne pisarki": `http://wolnipisarze-wolnepisarki.pl/`, dostęp 19.11.2012.

[27] H. Jenkins, *Kultura konwergencji*, s. 167.

Wszelkim przemianom technologicznym towarzyszą i będą dalej towarzyszyć współczesne przekształcenia w kulturze. Wskazać można na szereg przesunięć, dokonujących się pod wpływem mediów cyfrowych: 1. od kultury zamkniętej — do kultury otwartej (opartej na swobodnym dostępie do treści, możliwości ich wydobywania i przekształcania); 2. od kultury rewersu (pośrednictwa, czekania na otrzymanie książki) — do kultury *download* (polegającej na natychmiastowym pobieraniu treści); 3. od kultury skanu (występowania pośrednika w postaci skanera) — do kultury *screenshotów* (samodzielne i szybkie „skanowanie ekranu" w celu zachowania wyświetlonej informacji); 4. od kultury pionowej (hierarchicznej, systemowej, związanej z interesownym przekazywaniem wiedzy) — do kultury poziomej (niehierarchicznej, sieciowej, nastawionej na bezinteresowne wymienianie się informacjami); 5. od autora — do kooperacji; 6. od dzieła syntetycznego i jednolitego — do dzieła fragmentarycznego, multimedialnego i miksowanego (o wartości współczesnego utworu świadczy także otwartość na dalsze transformacje i możliwość jego konwergencji).

Z powyższych obserwacji wynika, że nastąpi przejście: od kultury RO (*read only*: tylko do odczytu) — do kultury RW (*read/write*: odczytu, zmian i zapisu)[28] oraz od kultury opartej na zezwoleniach — do kultury wolnej[29] (obie przemiany opisane przez Lessiga). Zamiast zezwolenia na uzyskanie dostępu do „energii odnawialnej" pojawić się powinna możliwość swobodnego czerpania z „literackich zasobów naturalnych".

[28]L. Lessig, *Remiks*, s. 37.
[29]L. Lessig, *Wolna kultura*, s. 220.

KUBA PRZYBYŁOWSKI

Kiedyś było inaczej. Teraz jest lepiej.

Kiedyś było inaczej, kiedyś było lepiej.

Marcin Świetlicki

NA POCZĄTKU

Pamiętam, że najpierw przegrywałem od kolegi kasety, które on przegrywał od swojego dużo starszego brata. Najlepsze z kaset były „sto dwudziestki". Były najlepsze, bo mogły pomieścić dwie „sześćdziesiątki", ale podobno szybciej się zużywały. Nigdy tego nie doświadczyłem. Później przyszedł czas na płyty CD i to był prawie raj, zwłaszcza jeżeli kolega miał na komputerze konwerter plików do formatu mp3. Żyć nie umierać, na jednej płycie można było upchać siedem, czasem dwanaście albumów. Internet był rzadkością i służył raczej do komunikacji, niż do wymiany plików. Transfer nie pozwalał. Kolejną rewolucją były płyty DVD, ponad trzy gigabajty pojemności, och, właściwie już staliśmy przed bramą niebios. Już wtedy się ściągało trochę muzyczki, zazwyczaj „osiołkiem"[1]. Stałe łącze zrewolucjonizowało wszystko, wystarczyło je mieć, a każda piosenka na świecie była w zasięgu ręki, czy to na YouTube'ie, czy do ściągnięcia. Wtedy okazało się, że jesteśmy złymi ludźmi, którzy łamią prawo. Powinniśmy iść do więzienia? Za co? Za kradzież? Czy my kradniemy? — zastanawialiśmy się i kasowaliśmy torrenty[2]. Komu, co i ile kradniemy? — próbowaliśmy dociec.

ZWROT

Piszę o muzyce, myślę o literaturze. Bo głównie na książkach się znam. Wiem trochę o rynku książki i o rządzących nim prawach. A wygląda to tak, że nawet niewielka księgarnia, w której jest do 10 000 książek, musi te książki pozyskiwać. I tu są dwie drogi: albo korzysta się z hurtowni książek, albo „bierze" je bezpośrednio od wydawnictwa. W księgarstwie obowiązują zasadniczo dwie formy umów: jest to faktura i umowa konsygnacyjna. Faktura, wiadomo, książki do księgarni są dostarczane, wraz z nimi faktura, która musi być opłacona w terminie określanym przez umowę. Tak zwana konsygnacja polega na tym, że hurtownia bądź wydawnictwo przekazuje do księgarni książki w komis. Faktura jest również wystawiana, ale na podstawie dokumentu sprzedaży za okres określony w umowie konsygnacyjnej. Niesprzedane książki zarówno z umowy hurtowej, jak i konsygnacyjnej można zwrócić[3], jednak w takim wypadku lepsze dla księgarzy są umowy konsygnacyjne, z tego prostego powodu, że można oddać wszystkie niesprzedane egzemplarze. Jest to działanie dość istotne, żeby nie powiedzieć kluczowe. Jeśli książka zbyt długo leży na półce, zajmuje miejsce pozycjom, które mogłyby się sprzedawać, więc generuje straty.

---

[1] eMule: `http://pl.wikipedia.org/wiki/EMule`, dostęp 14.12.2012.

[2] Protokół wymiany i dystrybucji plików przez internet, którego celem jest odciążenie łączy serwera udostępniającego pliki. Jego największą zaletą w porównaniu do protokołu HTTP jest podział pasma między osoby, które w tym samym czasie pobierają dany plik. Oznacza to, że użytkownik w czasie pobierania wysyła fragmenty pliku innym użytkownikom (źródło: `http://pl.wikipedia.org/wiki/BitTorrent`, dostęp 14.12.2012).

[3] Tzw. prawo zwrotu.

A PRZECIEŻ W BIZNESIE CHODZI O TO, ŻEBY ZYSKIWAĆ.

Jak działa prawo zwrotu w przypadku książek objętych umową handlową? Nie ma reguły, wszystko określa indywidualna umowa pomiędzy księgarnią a kontrahentem. To może być na przykład 30% zafakturowanego towaru, co cztery miesiące. Co w praktyce oznacza, że jeśli przez te cztery miesiące księgarz nie sprzeda 70% książek zakupionych, to z pozostałymi zostaje, dopóki ktoś ich nie kupi. I owszem, zdarza się, że ktoś kupuje jakiś tytuł i po roku od premiery, ale to rzadkie przypadki. Gdyby ktoś zapytał, dlaczego nie robić promocji, nie obniżyć ceny o, dajmy na to, 50% i patrzeć, jak pustoszeją półki?

Powód jest prozaiczny. Niezależnie od tego, jaka umowa jest podpisana pomiędzy księgarnią a kontrahentami, ta pierwsza w ten czy inny sposób kupuje książki. Czy na zakup jest wystawiana faktura od razu, czy po sprzedaniu każdego egzemplarza, nie ma to wielkiego znaczenia. Liczy się wynegocjowany rabat na zakup. A ten najczęściej zamyka się w przedziale 25–40%. Piszę tu o małych księgarniach, wiadomo, że molochy w rodzaju Empiku czy Massolitu mogą od hurtowni negocjować o wiele atrakcyjniejsze rabaty. Dzięki czemu w swoich salonach mogą oferować większe obniżki, niż mali niezależni księgarze.

Oczywiście, jeśli monopolista nie uzyska większego rabatu niż mała księgarnia, nie musi się martwić, bo i tak, dając minimalnie większy upust dla klientów, zarobi nieporównywalnie więcej.

Mogłoby się wydawać, co ciekawe, że biorąc książki bezpośrednio od wydawców, można liczyć na lepsze warunki. Niestety tak nie jest. Ba, bywa i tak, że lepiej zamówić książkę z hurtowni niż od wydawcy. Znaczy to tyle, że wydawnictwa oferują hurtowniom lepsze warunki niż księgarniom.

Układ wydaje się być czysty. Pomijając monopolizację rynku, wszyscy zarabiają i powinni być zadowoleni. Dlaczego? Dlatego, że gdyby nie istnieli pośrednicy, księgarze mieliby szansę negocjować lepsze warunki. Gdyby zaś nie było hurtowni, małe wydawnictwa byłyby skazane same na siebie, a te większe na rozliczanie się z setkami księgarń, musiałyby więc wynająć lub założyć własną odpowiedzialną za to firmę, żeby w spokoju zająć się wydawaniem książek, a nie ich dystrybucją.

NOWE TECHNOLOGIE

Wraz z rozwojem internetu i techniki pojawiły się oczywiście nowe formy książek. Początkowo nieśmiało, jednak audiobooki i e-booki (bo o nich mowa) zaczęły zdobywać coraz większą popularność.

Ten przydługi wstęp opisujący pokrótce mechanizmy biznesu księgarskiego w istocie pokazuje, mniej więcej, jak działa i jakimi prawami kieruje się rynek. Nie ma tu zresztą wielkiego rozróżnienia, czy chodzi o warzywa i owoce, książki, czy filmy. Nie ma to znaczenia, bo nie wspomniałem jeszcze o najważniejszej osobie w całej długiej liście czerpiących profity z handlu, mianowicie o twórcy (lub wytwórcy, odtwórcy).

KTO ZYSKUJE?

Podsumowując powyższe: wydawca od ceny rynkowej zyskuje ok. 50%, hurtownia ok. 20–25%, księgarnia ok. 25–30%. A co z autorem? Gdzie jego procent? Jest, owszem. W porównaniu do reszty rynku, niewielki. W przeprowadzonej przeze mnie mini-sondzie wynik był jednoznaczny: wszyscy znajomi pisarze odpowiedzieli, że od każdego sprzedanego egzemplarza otrzymują 7%. Chociaż kiedyś było lepiej: „Do kieszeni autora trafia najczęściej 10%, czasem 15%, a w rzadkich przypadkach 20% od ceny sprzedanego egzemplarza" — podawała w 2004 roku Ewa Likowska[4].

[4] `http://www.przeglad-tygodnik.pl/pl/artykul/kto-zarabia-na-bestsellerach`, dostęp 14.12.2012.

Jak widać stawki spadają, rynek ma się nie najlepiej, stąd narzekania branży na spadek czytelnictwa. Ale czy rzeczywiście spada czytelnictwo? Większość opracowań i artykułów poświęconych temu zagadnieniu skupia się na spadku dochodów księgarń i wydawnictw. A to przecież oznacza tylko spadek liczby sprzedawanych książek. Ludzie czytają jak czytali. Tyle że się więcej czyta rzeczy znalezionych w sieci.

Tutaj rewolucją okazały się czytniki. Jeszcze cztery lata temu były nowością, teraz coraz więcej ludzi korzysta z tej formy czytelniczej. I o ile sprzedaż książek ogólnie spada, to akurat e-booki na światowych rynkach (a nawet w Polsce) mają się coraz lepiej. Zresztą, dzięki e-bookom nastąpił ciekawy zwrot wydawniczy. Młodemu pisarzowi łatwiej wydać e-booka niż książkę papierową, mniej musi zainwestować. Należy się liczyć z tym, że jeśli e-book odniesie sukces, zostanie wydany w formie klasycznej.

Nie mam zamiaru rozwodzić się nad wadami i zaletami czytników, jojczyć, że to nie pachnie, że książka powinna stać na półce, że po niej można bazgrać, zaginać rogi, a czytnik rogi ma zaokrąglone przecież; nie mam zamiaru uczestniczyć w niedawno zaczętej wojnie, bo przecież nie o to chodzi. Ważne jest, że dzięki czytnikom, e-bookom, dzięki kompilatorom plików, dzięki serwisom służącym do wymiany plików (czyli dzięki sieci) mamy Polskę od morza do morza, ba, bezgraniczną, wielką Polskę. W jednej chwili, jednym klikiem mogę mieć wiele więcej niż oferują biblioteki, empiki i wszystkie księgarnie w mieście.

KORZYŚCI SIECIĄ PŁYNĄ

Ponadto z sieci, oprócz książek (na przykład tych, których już nie ma w obiegu pierwszym, drugim, których się nie wznawia, jak kultowa powieść Władysława Pasikowskiego *Ja, Gelerth*, która, jak się pokaże na Allegro, to uzyskuje niebotyczne kwoty — ponad 100 PLN), możemy ściągnąć dowolne w zasadzie filmy, muzykę, zdjęcia.

Czy rzeczywiście kradniemy? Czy to rynek nie nadąża za postępem technologicznym? Wiadomo, że twórca dzieła powinien z tytułu publikacji otrzymywać wynagrodzenie, ale przez jaki czas? Kto powinien otrzymywać tantiemy po śmierci artysty? I znowu, przez jaki czas? Czy jeśli znajdę (wyżej wymienioną) książkę w formacie pdf na „chomiku”[5] i pobiorę ten plik, to czy pan Pasikowski, lub wydawnictwo, poniesie stratę? Przecież książka nie ma dodruków, nie ma jej ani w księgarniach, ani w antykwariatach, a przecież już kiedyś ją miałem. Kupiłem w roku '96 albo '98 na Koszykach, w „taniej książce”.

Problemem, na który zwracają uwagę specjaliści od prawa autorskiego oraz marketingowcy wydawnictw, czy to książkowych, czy to muzycznych, są straty, do jakich przyczynia się wymiana między użytkownikami internetu. Dotyczą one w przeważającej części artykułów dostępnych również w tradycyjnym obiegu. Ale czy rzeczywiście nie ma innej drogi niż kupowanie w sklepach i napychanie kieszeni kolejnym pośrednikom? Ależ oczywiście, że jest. Sieć.

Pokolenie dzisiejszych trzydziestolatków dorastało wraz z rozwojem internetu, powoli, czasem w bólach, rodziły się nowe formy społeczne. Sformułowanie „globalna wioska” nabierało realnego znaczenia. Mieliśmy znajomych rozsianych po całym świecie, często nie wiedzieliśmy, jak kto wygląda, ale mogliśmy powiedzieć (na podstawie zawartości dysku kolegi), kim jest i co lubi. Korzystając z P2P, wymienialiśmy się muzyką, filmami, skanami (wtedy) książek, nie myśląc o tym, że łamiemy prawo. Przecież bardzo często mieliśmy te albumy, te książki i te filmy w oryginale, na półce, u rodziców, gdzieś tam. W czym rzecz?

Rzecz w tym, że zamiast kupować kolejny egzemplarz pobieraliśmy go, zawsze to parę złotych. Ale jeśli sięgniemy pamięcią do kaset magnetofonowych (i video), to okaże się, że można kopiować, na własny użytek. Co za różnica, ilu osobom skopiujemy.

Koncerny wydawnicze, wytwórnie filmowe i wydawnictwa zaczęły walkę z tak zwanym piractwem. Czyli z nami. Serwisy służące wymianie plików były poddawane naciskom, tak jak Napster, który w efekcie zmienił profil na płatny.

Ale były wyjątki, chlubne wyjątki, pokazujące siłę internetu i internautów. Zespół Radiohead. Swój siódmy studyjny album zatytułowany *In Rainbows* wydał w dystrybucji

[5] `http://chomikuj.pl`

elektronicznej. Każdy mógł pobrać płytę za darmo, albo samodzielnie ustalić cenę. Pierwszego dnia po ukazaniu się *In Rainbows* odnotowano liczbę 1,2 miliona sprzedanych kopii. Dochody Radiohead z tego albumu prześcignęły dochody ze sprzedaży elektronicznej wszystkich pozostałych albumów razem wziętych.[6]

Na bazie tego pomysłu internetowy serwis wymiany plików `http://thepiratebay.se` promuje mało znane zespoły, umieszczając na stronie głównej link do ich torrentów.

CZY TO PROMOCJA?

Jak pokazuje przykład Radiohead, można zarabiać dzięki sieci. Jak pokazuje przykład serwisu `http://thepiratebay.se`, można promować młodych wykonawców. I to jest moim zdaniem kluczowa kwestia dla działalności w internecie — promocja. Strony autorskie, blogi, fanpage na Facebooku, profile na portalach muzycznych, profil na YouTube, Twitter i tak dalej. Trudno znaleźć w dzisiejszych czasach mniej lub bardziej znanego artystę, który by nie korzystał z którejś z form podanych przeze mnie. A najczęściej, żeby dotrzeć bezpośrednio do maksymalnej liczby odbiorców, artyści prowadzą profile na kilku platformach naraz.

Są też, oczywiście, profile amatorskie, zakładane przez fanów, nawet artysta zmarły może liczyć, że znajdzie się jakiś zapaleniec, jakaś sierotka, która z chęcią będzie publikowała materiały o swoim ulubionym pisarzu czy muzyku. Wszyscy zaś zainteresowani będą mogli korzystać z informacji i plików.

To wszystko, to jest promocja. Promocja, która pomaga muzykom, filmowcom i pisarzom, również w ten sposób, że ja, siedząc sobie w centrum Warszawy, mogę obejrzeć filmy, które zbyt są egzotyczne na polski rynek i nie miały tu dystrybucji, posłuchać takiej muzyki i przeczytać książki, których nie byłbym w stanie kupić. Czy to działa?

Działa, oczywiście, dał nam przykład Radiohead: w wersji CD album *In Rainbows* został wydany około trzy miesiące po premierze w sieci. Wyniki miał świetne, od razu pojawił się na pierwszych miejscach list w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. W USA płyta zanotowała największy sukces od czasu pojawienia się albumu *Kid A* w 2000 roku, a w Wielkiej Brytanii był to piąty album Radiohead, który pojawił się na pierwszym miejscu w notowaniach.

Kiedyś było inaczej. Teraz jest lepiej.

[6] Źródło: `http://pl.wikipedia.org/wiki/Radiohead`, dostęp 14.12.2012.

EMANUEL KULCZYCKI

Przepraszam, czy oprócz praw do mojego tekstu nie zechciałby Pan zabrać jeszcze moich organów?

Puk, puk. Drzwi się otwierają i widzimy dwóch mężczyzn w białych kitlach, którzy pytają: „Czy możemy wziąć pańską wątrobę? Zgodnie z zasadami przed pobraniem musi pan umrzeć. Ale proszę się nie martwić! Te pobrane organy uratują ludzkie życie". Absurd, prawda? Jasne, przecież to słynny skecz z *Sensu życia według Monty Pythona*. Pokuśmy się o małą trawestację, dobrze?

Klik, klik. Po trzech latach pracy nad projektem, który został sfinansowany z własnej kieszeni lub z grantu badawczego, autor przesyła artykuł do czasopisma i słyszy od redaktora: „Dziękujemy za przesłany tekst. Za jego opublikowanie należy zapłacić 1000 dolarów. Po publikacji nie będzie mógł go pan nigdzie przedrukować, zamieścić na swojej stronie domowej, w żadnym repozytorium. Tylko czytelnicy, którzy zapłacą 39 dolarów, będą mogli przeczytać pana tekst. Oddaje pan wszystkie autorskie prawa majątkowe do swojego dzieła". To już nie absurd, to czysta rzeczywistość w świecie naukowym.

HISTORIA JAKICH TYSIĄCE: WIELKI WYDAWCA KONTRA AUTOR

Autor przychodzi do wydawnictwa, kładzie maszynopis na stole i drżącym głosem pyta: „czy go wydrukują?". I właśnie w tym miejscu mogłaby się zacząć kolejna opowieść o tym, jak to słaba, biedna jednostka jest rozwałkowywana przez machinę molochów wydawniczych. Cała historia kończyłaby się umoralniającym podsumowaniem, jak to we współczesnym świecie autor niosący „kaganek wiedzy" jest tępiony przez prawa rynku.

Ale to nie tak. To gnębienie nie wynika tylko z postawy Wielkich Wydawców — jego źródło tkwi przede wszystkim w postawie i niewiedzy autorów. Tak, proszę Państwa, autorzy bywają sami sobie winni, bowiem nie zauważyli, że zmienił się świat. Nie chodzi o żadne internety, internautów czy światy wirtualny — nic takiego nie istnieje. Chodzi o prostą rzecz: wydawcy pozwolili sobie na bardzo dużo dlatego, że autorzy mylą „prestiż wydawcy" z „dostępem do ich dzieła". Po prostu.

Jeszcze do niedawna było to zrozumiałe — ale tylko wtedy, kiedy pod terminem „dystrybucja" rozumiało się dostęp do sieci księgarni. Teraz dystrybucja i dostęp do tekstów może się zacząć wraz z uruchomieniem przeglądarki internetowej.

NAJWIĘKSI SIĘ ZBUNTOWALI, NAJMNIEJSI JESZCZE TEGO NIE ZAUWAŻYLI

Wiosną 2012 roku jeden z najlepszych i najbogatszych uniwersytetów na świecie skierował apel do naukowców, aby ci przestali wysyłać teksty do wydawców sprzedających swoje czasopisma w pakietach. W ten sposób Uniwersytet Harvarda pokazał, że ktoś przekroczył granicę przyzwoitości. Cała sprawa nabrała większego rozgłosu, gdy jeden z najsłynniejszych matematyków — Tim Gowers — laureat medalu Fieldsa (odpowiednika Nobla w matematyce) i bardzo aktywny bloger napisał, że nie będzie pracował na rzecz Elseviera — wydawcy, który wydaje najbardziej prestiżowe czasopisma matematyczne na świecie. Gowers przeciwstawił się polityce wydawniczej giganta, który sprzedaje czasopisma w pakietach (słabe czasopisma dołączane do dobrych) oraz popiera SOPA — projekt ustawy, mającej uniemożliwić zamieszczanie przez autorów ich własnych artykułów w sieci (w wersji po recenzji wydawniczej).

Gowers mógł sobie na to pozwolić. Jego pozycji naukowej nikt nie podważy. Nie musi się też martwić o zrobienie habilitacji w Polsce. Może wybierać takie czasopisma, w których chce publikować. Może patrzeć na politykę wydawniczą i dopiero wtedy decydować.

AUTOR MOŻE WYBRAĆ, ALE SIĘ NIE ZNA

A co może zrobić polski naukowiec? Powinien się uczyć od Gowersa i robić dokładnie to samo.

Nie jest tak, że jesteśmy zmuszani do oddawania swoich prac naukowych wydawnictwom, które łaskawie je opublikują, jeśli autor dorzuci odpowiednią sumkę do kosztów druku (lub sfinansuje wszystko w całości, np. z grantu), nie będzie sobie rościł praw do honorarium, a po opublikowaniu nie będzie miał najmniejszej ochoty i możliwości umieszczenia wersji elektronicznej w sieci. Bo tak to najczęściej wygląda — szczególnie w przypadku wydawania monografii w naukach humanistycznych i społecznych.

Ile to już rozmów przeprowadziłem z autorami, którzy nagle oświeceni podstawową wiedzą z zakresu prawa autorskiego, mówili: „no to ja straciłem swoją książkę, nie mogę już nic z nią zrobić". Kiedy zadaję pytanie: „A jaką umowę podpisałeś / podpisałaś?" — wówczas najczęstszą odpowiedzią jest: „Nie wiem, ale chyba oddałem wszystkie prawa i nic nie mogę z tym zrobić. A jak zrobię, to złamię prawo". A ja zawsze wówczas dodaję: „I przyjdą zabrać ci nerkę, bo też się jej w umowie zrzekłeś?".

W skeczu Monty Pythona dwóm panom w białych kitlach, którzy pobierają wątrobę od „dobrowolnego dawcy", żona dawcy tłumaczy, że jej mąż chodzi do biblioteki, widzi, że ktoś coś tam podpisuje. I on też podpisuje, a potem wraca do domu pełen dobrych intencji.

I autor też ma takie dobre intencje. Pracuje nad artykułem i książką, chce rozwijać siebie i powiększać wiedzę o świecie. Jest pełen dobrych intencji i idzie do wydawnictwa. Które też jest pełne dobrych intencji. I książka się ukazuje, artykuł zostaje opublikowany i... koniec bajki. Bowiem autorzy najczęściej nie dbają o swoje interesy, a potem narzekają. Nawet jeśli wszystkie nieszczęście, które ich spotykają, sami na siebie ściągnęli, to zawsze znajdą tych Innych. I to właśnie Oni są odpowiedzialni za całe zło.

Kiedy już przychodzimy do wydawnictwa, to powinniśmy dbać o własne dobro, a nie o interesy wydawnictwa. Interesować się umową, zapisami, polami eksploatacji. A najlepiej to tym wszystkim zainteresować się przed wyborem miejsca publikacji. Przecież funkcjonuje tyle dobrych marek, które pozwalają umieszczać materiały w sieci, funkcjonują prestiżowe czasopisma, które publikują w modelu Open Access. To czego zatem brakuje polskim naukowcom?

WIEDZA I WIEDZA. I WIEDZA

Brakuje im wiedzy, wiedzy, wiedzy i jeszcze raz wiedzy. Kiedy opublikowałem swoją książkę w wydawnictwie naukowym na licencji Creative Commons, dostałem mnóstwo maili z pytaniem: „Jak udało się Panu przekonać wydawnictwo do tego? Przecież to niewykonalne!". To banalne: po prostu powiedziałem, że chcę wydać książkę na takiej licencji. Koniec kropka.

Kilka dni temu miałem przyjemność rozmawiać z panią dyrektor pewnego dużego wydawnictwa naukowego, składałem bowiem tam propozycję książki, która ukaże się w ramach większego projektu. Oprócz podstawowych szczegółów podałem tam również, że chcę, aby książka ukazała się na licencji CC BY 3.0. Musiałem dopowiedzieć, co to oznacza, wyłożyłem wszystkie podstawowe elementy tej licencji, aby usłyszeć odpowiedź: „Nie ma sprawy". W wydawnictwach też pracują rozsądni ludzie.

Przestałem się już łudzić, że autorzy naukowi sami zrozumieją, jak świat się zmienił. Że nie mamy jednego wielkiego wydawcy książek naukowych i czterech czasopism na krzyż. Świat wydawniczy otworzył się — możemy sami decydować. Oczywiście trzeba jasno powiedzieć: jeżeli w poszukiwaniu czasopism naukowych narzucimy filtr, że mają

publikować materiały w otwartym dostępie, to na wejściu większość z nich odrzucamy. W przypadku polskich czasopism będzie to jakieś 90% procent, jeśli nie więcej. No i co z tego?

Przecież jak wyślemy artykuł do czasopisma, które nie pozwala udostępniać własnych tekstów, samo ich nie udostępnia, a jedynie publikuje numer w nakładzie 200 egzemplarzy, to kto przeczyta nasz tekst? Recenzent, redaktor, składacz publikacji i korektor? Bez przesady, chyba nie po to piszemy, prawda?

CZEGO CHCE NAUKOWIEC?

Sprawa jest prosta: to, czego chce naukowiec, który publikuje swoje prace, sprowadza się do kilku rzeczy. Chce, aby go czytano, cytowano, przywoływano. To daje mu satysfakcję, uznanie w środowisku, a pośrednio pieniądze na badania i wynagrodzenie. Proste, prawda?

Czy zatem instytucje zarządzające nauką w Polsce nie mogłyby bardziej postarać się o wyedukowanie naukowców w zakresie ich własnych praw? Przecież to leży również w interesie tych instytucji. Ja wiem, że na szczeblu ministerialnym powstają podstawowe inicjatywy w zakresie wspierania otwartego dostępu — i chwała im za to! Ale na nic to będzie, jeśli naukowcy nie zrozumieją zasad działania „nowego świata". Bo dla nich to jest wciąż *terra incognita*. I nie ma się co im dziwić, naukowcy bowiem, którzy są dziećmi sieci, staną się liczniejsi dopiero za kilka lat. Badacze dziś są wciąż „dziećmi pióra", którym zdarza się obrażać na nowy świat — tak samo jak mnisi ze skryptorium obrażali się na maszynę Gutenberga.

II

RADEK CZAJKA

Egzemplarz umarł

Oglądaliście *His Girl Friday* (*Dziewczyna Piętaszek*)? Pewnie nie. Film został nakręcony w 1939 roku w studiach Columbia Pictures, ale po 28 latach, kiedy wygasał na niego monopol autorski, producenci byli nim już na tyle mało zainteresowani, że nie pofatygowali się, by go przedłużyć o dodatkowe 28 lat. Gdyby to zrobili, załapaliby się już na niekończącą się jazdę „kolejką górską" kolejnych, automatycznych przedłużeń monopolu. Na angielskiej Wikipedii widnieje lista filmów w domenie publicznej (`http://en.wikipedia.org/wiki/List_of_films_in_the_public_domain_in_the_United_States`) — a są na niej takie pozycje, jak oryginalna *Gorączka złota* Chaplina, *Noc żywych trupów* w wersji z 1968 roku, czy choćby *It's a Wonderful Life* z 1946 roku, który — poniekąd ze względu na swój wolny od monopolu status — mógł stać się jednym z ulubionych filmów Ameryki, tradycyjnie pokazywanym w okresie świąt.

Ostatni film na tej liście trafił do domeny publicznej w 1991 roku. W międzyczasie monopol zaczął być uznawany za stan normalny, a domena publiczna — za wyjątek, przeznaczony tylko dla bardzo dawno temu zmarłych pisarzy. A i to — jak pokazuje sprawa Korczaka — niekoniecznie musi być takie oczywiste.

His Girl Friday mógł nie być wystarczająco interesujący dla Columbia Pictures w 1967 roku, ale został w pewnym stopniu doceniony po latach. W 2000 roku trafił na 19. miejsce na liście najśmieszniejszych komedii stulecia według Amerykańskiego Instytutu Filmowego (AFI). Na IMDB ma obecnie ocenę 8.0, a „Tomatometr" w serwisie Rotten Tomatoes wskazuje wysoki wynik 97%. Sama wytwórnia wróciła zresztą do filmu, wypuszczając go ponownie na kasetach wideo — w czym brak monopolu też jej najwyraźniej nie przeszkadzał. Status domeny publicznej pozwala udostępniać dzisiaj film w Internet Archive, co jest oczywiście miłe, ale ma ograniczone znaczenie w obliczu faktu, że więcej osób znajdzie go po prostu na Pirate Bay albo na YouTubie, nic o jego statusie prawnym nie wiedząc. Bo monopol autorski jest dziś powszechnie ignorowany — i nie bez powodu.

Ale dla mnie ten konkretny film jest interesujący z innych, niż tylko prawne, powodów: widać w nim pewne, być może z perspektywy czasu nieśmiałe, ale jednak zapowiedzi nadchodzących zmian.

Rzucają się w oczy zmiany w technice i narracji filmowej — w filmie gatunkowo klasyfikowanym jako *screwball comedy* („podkręcona komedia") dominują wartkie, pełne ciętych ripost dialogi, podczas których bohaterowie przerywają sobie, wchodzą w słowo, mówią jednocześnie. Te realistyczne dialogi, nagrywane przed nadejściem mikserów wielościeżkowych, stanowiły niebanalne wyzwanie techniczne, wymagające ponoć prawdziwej żonglerki mikrofonami na planie.

Jednak bardziej istotny jest chyba obraz zachodzących zmian społecznych. Charakterystyczne dla *screwball comedy* jest pokazywanie silnych postaci kobiecych — serwis TVTropes.org wskazuje zresztą główną bohaterkę filmu, gwiazdę reportażu Hildy Johnson, jako najbardziej klasyczny przykład motywu „nieustraszonego reportera" (`http://tvtropes.org/pmwiki/pmwiki.php/Main/IntrepidReporter`) — przy jednoczesnym podważaniu tradycyjnie rozumianej męskości. Otaczający Hildy mężczyźni, kiedy tylko próbują jeszcze odgrywać swoje „męskie" role, natychmiast popadają w śmieszność, są przy tym niepewni, niezgrabni i stale zagrożeni. Nie jest to może jeszcze obraz pełnej niezależności kobiety — w końcu centralną osią fabuły nadal jest raczej walka dwóch mężczyzn o kobietę, niż jej niezależny wybór swojej drogi życiowej — ale damsko-męska gra nawiązywana jest już na zupełnie nietradycyjnym poziomie.

W każdym razie — film jest godny polecenia.

A wprowadzam do elementów jego fabuły nie po to, by zepsuć czytelnikom przyjemność z oglądania, ale żeby nawiązać do jednej pobocznej sceny, która szczególnie utkwiła mi w pamięci. Kiedy cała trójka bohaterów siedzi w restauracji, omawiając najbliższe pla-

ny Hildy i jej nowego narzeczonego, Walter — były mąż, który podczas całej rozmowy nie szczędzi nowemu „rywalowi" złośliwości — pyta: „Chyba czegoś nie zrozumiałem — bierzecie razem kuszetkę DZIŚ, a pobieracie się JUTRO?". „Och, to nie tak" — odpowiada zakłopotany Bruce. „A jak?" — rzuca w jego stronę już zupełnie poważnie Walter.

To ostre podniesienie sprawy czystości przedmałżeńskiej — nawet gdyby było tylko częścią ironicznego występu Waltera — z dzisiejszej perspektywy wydaje się kompletnie nie na miejscu. Tymczasem właśnie w latach trzydziestych wprowadzono w Hollywood tzw. Production Code (`http://productioncode.dhwritings.com/multipleframes_productioncode.php`) — zestaw zasad moralnych, regulujących, co można pokazywać w filmach, a co nie. Poza zapisami zabraniającymi pokazywania scen przemocy, używania wulgaryzmów czy obsadzania postaci osób duchownych jako bohaterów negatywnych, kodeks przewidywał również obowiązek „obrony świętości instytucji małżeństwa" i szereg zapisów związanych z seksem — od zakazu scen zbyt sugestywnego tańca, po wykluczenie aborcji, higieny seksualnej i chorób wenerycznych spośród tematów nadających się do pokazywania na ekranie.

Wielkie zmiany miały dopiero nadejść. W latach 40. rozpoczęto badania nad antykoncepcją hormonalną, niedługo miał też ukazać się *Raport Kinseya*, wyciągający na światło dzienne fakt, że ogromna większość Amerykanów nie stosuje się do rzekomo „obowiązującej" moralności seksualnej. Przez te 28 lat minęła cała epoka. Rok przejścia *His Girl Friday* do domeny publicznej był też jednocześnie rokiem zniesienia Production Code. W tym samym czasie kolejne kraje zabrały się za znoszenie zakazów aktywności zawodowej zamężnych kobiet, stosowania środków antykoncepcyjnych, kontaktów homoseksualnych, liberalizowanie prawa aborcyjnego, czy wreszcie wprowadzanie edukacji seksualnej lub rejestrowanych związków jednopłciowych.

Pokolenie dzieci kwiatów bezpowrotnie strąciło tradycyjną moralność z piedestału, tworząc miejsce dla rzeczników nowoczesnej etyki seksualnej, antykoncepcji i edukacji. Oczywiście, nadal istnieją również tradycjonalistyczni moraliści — a obie grupy patrzą na siebie ze zdumieniem i wzajemnym niezrozumieniem. Niby dyskutują, ale posługują się różnymi słownikami, w których słowa takie, jak „odpowiedzialność" czy „szacunek" mają kompletnie odmienne znaczenia. „Czego wy chcecie?" — pytają jedni — „Dla seksu i rozpasania racjonalizujecie sobie odrzucenie fundamentów społeczeństwa". A drudzy odpowiadają: „Czego wy chcecie? Czy nie widzicie, że wasze uświęcone zasady powodują dziś więcej szkody, niż pożytku?"

„Oni nic nie rozumieją" — myślą jedni i drudzy.

Czy dzisiejszy spór pokolenia „dzieci sieci" z tradycjonalistami prawnoautorskimi trochę tego nie przypomina? Mnie tak, i najwyraźniej nie tylko mi.

To właśnie porównanie — w formie oskarżenia — pojawia się po stronie copyrightowych tradycjonalistów. „W sieci pojawiła się jakaś cyberkomuna, która chce mieć wszystko free" — mówi Muniek Staszczyk, a mi staje przed oczami postać nie rockmana, tylko kręcącego głową moralisty, powtarzającego z dezaprobatą: „oni chcą tylko puszczać się z kim popadnie".

Fenomen „dzieci sieci" nie polega przecież na tym, że nagle, nie wiadomo skąd, powstało pokolenie, które chce mieć „za free", tak jak rewolucja obyczajowa nie polegała na tym, że nagle powstało pokolenie wyjątkowo napalone na seks bez zobowiązań. Jedno i drugie było efektem odrzucenia jakiejś uświęconej, sfetyszyzowanej bzdury, która w takim stopniu przestała przystawać do rzeczywistości, że żadne nowe pokolenie nie mogło już dać jej sobie wmówić. W latach 60. padł fetysz czystości seksualnej i „dobrego prowadzenia się", wraz z przekonaniem, że trzymanie się tradycyjnej moralności to warunek dobrego społeczeństwa. A co pada dziś?

Moim zdaniem: dziś pada fetysz egzemplarza.

Masowy obieg kultury był do niedawna oparty na egzemplarzach. Trzeba było mieć płytę, by móc słuchać ulubionej muzyki, kasetę, by zaprosić znajomych na film, mieć w ręce zadrukowany papier, by przeczytać książkę. Egzemplarz był podstawowym kanałem dostępu do treści. Cały system prawa autorskiego został zbudowany wokół tej koncepcji, że wystarczy kontrolować produkcję egzemplarzy.

Egzemplarz upadł, bo przestał być potrzebny. Plastikowa płyta w ładnym pudełku została sprowadzona do roli gadżetu, na poziomie plakatu czy koszulki z nazwą zespołu. Fajnie to mieć, można powiesić na ścianie i czasem odkurzyć, ale wszyscy wiedzą, że nie jest to żaden kluczowy kanał dostępu do kultury. Fetysz egzemplarza umiera, i zabiera ze sobą do grobu przekonanie, które coraz trudniej komukolwiek wpoić, choć nie ustają starania — że pliki, które kopiujemy sobie z dysku na dysk, to właściwie to samo, co płyty w sklepie (tylko, oczywiście, bez płyt). „Dlaczego wytwarzacie nieautoryzowane egzemplarze naszych płyt w swoich niekontrolowanych fabrykach?" — zdają się pytać użytkowników rzecznicy „Legalnej kultury". „Jakie egzemplarze, o czym wy mówicie?" — odpowiadają zdziwieni użytkownicy — „My niczego nie wytwarzamy, niczego nie zabieramy, przeciwnie — dzielimy się zawartością swoich dysków z innymi. Nie potrzebujemy waszych egzemplarzy, dziękujemy bardzo — za to chętnie pójdziemy na koncert".

Historia się jakby powtarza. „Czego wy chcecie? Żeby tylko nie płacić za płytę, racjonalizujecie sobie zamach na fundamenty kultury" — mówią tradycjonaliści. „Czego wy chcecie? Czy nie widzicie, że wasz archaiczny model biznesowy przynosi dziś obiegowi kultury więcej szkody, niż pożytku?" — odpowiadają „dzieci sieci". „Oni nic nie rozumieją" — myślą jedni i drudzy.

Dlatego — jakkolwiek (a może ponieważ) zdecydowanie identyfikuję się z „dziećmi sieci" — coś mi w manifeście Piotra Czerskiego zgrzyta, coś mi nie pasuje, kiedy czytam:

„Jesteśmy gotowi płacić, ale gigantyczny narzut nakładany przez dystrybutorów wydaje nam się czymś w oczywisty sposób nieprzystającym. Dlaczego mielibyśmy płacić za dystrybucję informacji, którą można błyskawicznie i perfekcyjnie skopiować, nie zmniejszając przy tym ani na jotę wartości oryginału? Jeżeli dostajemy samą tylko informację — chcemy, aby cena była do niej adekwatna. Możemy płacić więcej, ale chcemy otrzymać wówczas wartość dodatkową: ciekawe opakowanie, gadżet, wyższą jakość obrazu, możliwość rozpoczęcia oglądania tu i teraz, bez oczekiwania na pobranie pliku."

Co to znaczy? Że przy trochę niższej cenie damy sobie z powrotem wmówić, że pliki na naszych dyskach to niewidzialne płyty pozabierane ze sklepowych półek? Narzekanie na wysokie ceny kultury to ślepa uliczka, bo fetysz egzemplarza nie jest kwestią ceny i nie wróci przy pierwszej obniżce. Owszem, możemy zapłacić za ładne pudełko z książeczką, za wspólne przeżycie, za wygodną usługę — ale za sam egzemplarz nie będziemy już płacili nigdy.

PAWEŁ KOZIOŁ

Sieć, w którą każdy łapie swoją Mongolię

1.

Nie wiedziałem, jak zacząć ten tekst, aż do momentu, kiedy parę dni temu dostałem przez czat Facebooka następującą wiadomość, a właściwie to nawet miniaturowy esej:

> Cześć, chciałam Ci tylko powiedzieć, że właśnie sobie uświadomiłam, że komputery tak strasznie zepsuły mi dystans i perspektywę, że jak wstukałam w Google: „Mongolia" i chciałam mieć ją dalej od siebie, to zamiast wstać i odejść, zaczęłam szukać kombinacji klawiszy, która mi to wszystko oddali, która mi to wszystko pomniejszy. Taki trochę zwrot w historii ludzkości, myślę. Nie muszę się ruszać, żeby oddalać rzeczy, ale trudno się przybliża, bo wyskakują piksele, tak że przyglądanie się uważne obrazkom też jest trudne.

Ola — bo tak się nazywa autorka wiadomości, która na potrzeby tego tekstu właśnie Olą bez nicka i nazwiska zdecydowała się pozostać — pozornie wpisuje się w katastroficzną bajkę o złej technologii, która zniekształca nam obraz świata i każe poszukiwać skrótów zarówno na klawiaturze, jak i w percepcji, powodując przy tym, że łatwiej wyobrazić sobie oddalenie się od jakiejś treści niż do niej przybliżenie. Ale to całkiem nie tak. Po pierwsze chęć, by Mongolię, czy też dowolną treść, utrzymać dalej od siebie, jest niewątpliwą zdobyczą kulturową. Dawniej Mongolia albo była za daleko, aby w ogóle umożliwiać takie kulturowe fanaberie, lub dla odmiany podchodziła za blisko, jak w roku 1241, gdy nie istniała opcja, by ją oddalić. Stanów pośrednich było rozpaczliwie niewiele.

Po drugie, Ola z filtrowania informacji pochodzących z sieci, a także z rekwizytu, jaki stanowi ikonka lupy z wrysowanym w nią plusem albo minusem, wyczarowała niezłą metaforę komunikacyjną i przesłała mi ją z pomocą tej samej sieci, której wpływ na umysły metafora miała diagnozować, a przy okazji umożliwiła mi rozpoczęcie tego artykułu słowami, które mi się zwyczajnie podobają. Po trzecie, cały przebieg wydarzeń — i tekst Oli, i zawarta w nim metafora, i łatwość komunikacji — pokazuje, z jaką gracją autorka tego minieseju porusza się w środowisku sieciowym.

2.

A mnie tej gracji brakuje. W związku z tym się jeszcze napinam, nie wiedząc nawet, czy to z powodów pokoleniowych, czy może geograficznych. One zresztą splatają się w osobliwy sposób, w którym ruch wstecz na osi czasu wywołuje mniej więcej takie same efekty, jak ruch po współrzędnych z GoogleMaps w stronę umownej Mongolii, czyli mówiąc po prostu na południowy wschód od Warszawy. Zresztą kierunek nie jest tu najważniejszy. Chodzi o jakikolwiek ruch oddalający od dowolnego lokalnego bądź mentalnego centrum.

Z powodów, które z roku na rok będą się stawać coraz bardziej nieoczywiste, ponieważ futurologia dotycząca Internetu zdobywa status coraz podobniejszy do tej, która by dotyczyła sieci drogowej czy kolejowej, czuję niejasne zobowiązanie, by generować tu jakieś hipotezy. Zakładam w nich, że z czasem ten efekt straci na znaczeniu, stając się tym, czym w kosmologii jest tak zwane promieniowanie reliktowe — niezbyt wyraźnym śladem nierównomierności występujących na pierwszym etapie rozwoju. Efekt już znika w tym sensie, że matka moja używa Googla stanowczo lepiej ode mnie, a dziadek w ciągu ostatnich dwóch lat życia zdążył przejść jeszcze drogę od niewiedzy, co to jest edytor tekstu, do stwierdzenia, że myszą pracuje się za wolno. Po tym musiałem mu pokazać skróty klawiaturowe, które docenił.

Podejrzewam też, że przyszła socjologia sieci zapewne zacznie zastanawiać się nad tym, jak czynniki pokoleniowe i geograficzne wpływały na rozwarstwienie kompetencji i jak

potem różne wzorce korzystania z nich wpływają na to, co będą z siecią robić osoby następne. I nie jest to bynajmniej przepływ jednokierunkowy — Ola mówiła, to znaczy czatowała mi, że jej rodzice zaczynają dzień od internetu, jak dawniej ponoć zaczynało się od kawy z gazetą, a ona już, podkreślam to słowo, już nie.

3.

Te pseudonaukowe uwagi powyżej potrzebne mi były, abym się w końcu przyznał, że prawdopodobnie nie jestem dzieckiem sieci. Należę raczej do grona pociotków, dalekich kuzynów, krewnych i znajomych królika, który zapewne pojawia się na jakimś memie, a jeśli nawet nie, to nadrobienie tego karygodnego braku wymaga zaledwie paru kliknięć. Jednym słowem sensowniej byłoby powiedzieć, że wskoczyłem do ostatniego wagonu pociągu cyfrowej rewolucji. Zapewne świadczy o tym już fakt, że w poprzednim zdaniu odruchowo użyłem metafory kolejowej, to jest technologicznej wprawdzie, lecz co najmniej stuletniej.

Znaków zapóźnienia jest więcej. Pierwszą pracę roczną, jaką oddawałem na studiach, przepisałem ręcznie. Pierwszą stronę internetową montowałem zdaje się pod koniec studiów magisterskich, w roku 2003 lub 2004. Nie wiem, w jak wyrafinowane rastry stepowy wiatr układał wówczas ziarnka piasku nad infostradami Mongolii (co znaczy także: nie przybliżyłem jej sobie dostatecznie[1]), ale z pewnością prezentowały się one lepiej.

I chociaż jakoś radzę sobie w świecie *information technology* (celowo nie tłumaczę tej zbitki na polski, żeby zachować pewną dwuznaczność między informatyką a informacją, na jaką pozwala język angielski), chociaż przed ekranem spędzam prawdopodobnie za dużo czasu, na co składa się i praca, i parę niszowych hobby, to jednak wciąż nie jest to dla mnie środowisko naturalne. Umiejętności to jedno, a swoboda w posługiwaniu się nimi — to drugie. I na ten brak swobody składają się dziesiątki szczegółów. Szybkość stukania w klawiaturę zdecydowanie poniżej przeciętnej, i to najwyżej czterema palcami. Fakt, że wprawdzie nauczyłem się programować, i to nawet systemy dość złożone, ale i tak za każdym razem sprawdzam, jak zapisać najprostszą pętlę, w związku z czym zapewne w widocznym miejscu na pulpicie powinienem trzymać sobie gotowy do przeklejenia *snippet*:

```
for (int i = 0; i < nOfRecords; i++) {
}
```

4.

I nie wiem w końcu, czy to z poczucia niepełnego uczestnictwa w cyfrowym świecie (z wrażenia — tak to nazwijmy — programisty-amatora, jakby był zegarmistrzem zabierającym się za manipulacje delikatnym mechanizmem w ogrodniczych rękawicach), czy z motywacji bardziej racjonalnych weźmie się to, co napiszę poniżej. Jednak napiszę.

Być może i sam fakt, że używamy terminu „dzieci sieci", z jakiejś przyszłej perspektywy zacznie się jawić jako socjologiczna osobliwość. W wersji minimum ta domorosła futurologia oznacza po prostu tyle, że być może nie do utrzymania jest poczucie wspólnoty na tak zawrotnym, globalnym poziomie. Piękny i pozytywny sen o jednej sieci pozostanie legendą właściwą pierwszym dwóm czy trzem pokoleniom, a ściślej — tej ich części, która miała realny wpływ czy to na kształt Internetu, czy na jego etos. I wcale nie muszą sprawić tego złe korporacje czy totalitarne rządy, nie trzeba wyobrażać sobie w tym celu żadnej mrocznej, dystopijnej przyszłości. Po prostu każdy jest sam sobie filtrem, każdy przybliża i oddala sobie taką Mongolię, jaką sobie wybrał, czy też do jakiej udało mu się dotrzeć.

[1] Wikipedia o Mongolii: Liczba użytkowników Internetu wzrosła gwałtownie w ostatnich latach. W roku 2000 było ich 30 tys., a w 2007 już ponad 268 tys. (Internet Usage has grown rapidly in the last few years. In 2000, there were 30,000 users, but as of 2007 there are more than 268,300.); `https://en.wikipedia.org/wiki/Telecommunications_in_Mongolia`; za: `http://www.internetworldstats.com/asia/mn.htm` — dostęp do obu stron 5.12.2012. Red. WL.

W wersji maksimum tej niejasnej przepowiedni mamy zaś sieć, która po prostu nie będzie już jedna. Nie wiem, czy doprowadzi do tego fizyczny podział infrastruktury, czy zdublowanie jej przez tych, którym nie odpowiada ewolucja międzynarodowych regulacji dotyczących sieci, czy może rozpad standardu HTML na dialekty z coraz mniejszą częścią wspólną. Nie wiem, czy tak się w ogóle stanie (oby nie). W każdym razie dopiero wyobrażenie sobie takiej alternatywy pozwala zrozumieć, co tak naprawdę mówi slogan „my, dzieci sieci".

MARTA KLIMOWICZ

Edukacja medialna dzieci sieci

Niecały miesiąc po publikacji manifestu Piotra Czerskiego, w zupełnie innej galaktyce, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłosiło nabór wniosków do priorytetu *Edukacja medialna, badania*. Jego celem — jak można było dowiedzieć się ze strony Ministerstwa — miała być „diagnoza stanu kompetencji medialnych społeczeństwa". Kilka miesięcy później, kiedy publikacja Czerskiego została już przetłumaczona na kilkanaście języków, najlepiej ocenionym przez Ministerstwo projektem okazał się być wniosek „Dzieci sieci. Kompetencje komunikacyjne najmłodszych". W chwili gdy piszę ten tekst (druga połowa listopada 2012), badania w ramach tego projektu zostały już ukończone i trwają prace redakcyjne nad raportem końcowym.

Projekt ten — tak dla mnie, jak i dla większości zespołu — rozpoczął się na Facebooku, gdzie jeden z badaczy udostępnił link z informacją o konkursie, zachęcając swoich znajomych do zapoznania się z nim i wzywając do działania. Kolejne wydarzenia potoczyły się bardzo szybko, w hollywoodzkej produkcji przedstawione zostałyby za pomocą sekwencji zagęszczonej, prezentującej grupę badaczy, która — w ramach powołanego *ad hoc* interdyscyplinarnego zespołu — nie spotykając się ze sobą ani razu, a korzystając z szeregu narzędzi internetowych (spośród których część była na bieżąco testowana i akceptowana lub odrzucana jako nieużyteczna) w ciągu kilku tygodni opracowała wniosek, pozyskując równocześnie patronat gdańskiego Instytutu Kultury Miejskiej.

Przez kolejne miesiące spotykaliśmy się z młodymi ludźmi i ich opiekunami, obserwowaliśmy zachowania dzieci i młodzieży w szkole i w sieci, a także przeprowadziliśmy analizę programów nauczania. I choć nasze wnioski w głównej mierze oparte były na przygotowanym modelu kompetencji komunikacyjnych, to myślę, że wszyscy — po części świadomie, po części nie — odwoływaliśmy się do tytułowych „dzieci sieci", powracając do tekstu Czerskiego. Z jednej strony nasze badania były więc bardzo merytorycznym wysiłkiem podjęcia namysłu naukowego nad różnymi obszarami, w których przejawiają się lub rozwijane są kompetencje komunikacyjne. Z drugiej zaś — nieustannie podejmowaliśmy polemikę z tekstem *My, dzieci sieci*, który był przecież jednym z naszych punktów wyjścia. Stale więc odwoływaliśmy się do niego, testując publicystyczne tezy i zderzając je ze światem, który pokazali nam uczestnicy badań. Równocześnie wreszcie — sami po części stawaliśmy się obiektami swoich badań, zadając sobie pytania o to, na ile rozwinęliśmy u siebie wyodrębnione obszary kompetencji komunikacyjnych, w jakim stopniu jesteśmy w nich biegli, a także na ile te autoetnograficzne wnioski powinny stać się częścią raportu końcowego, czy wreszcie — na ile sami jesteśmy dziećmi sieci.

Po skończeniu części *netnograficznej*[1] badań i zapoznaniu się z raportem końcowym pozostałych działań, jeszcze raz wróciłam do tekstu Czerskiego. Nawet przyjmując konieczne przecież założenie, że tekst noszący znamiona manifestu nie jest (a nawet: być nie powinien) rzetelnym opisem świata zastanego, a raczej próbą sformułowania postulatów zmiany rzeczywistości społecznej, zatem — nawet przyjmując takie założenie, wyraźnie widzimy, że zbywa w nim przynajmniej jednego ważnego elementu: edukacji. Esej Czerskiego pozostawia czytelnika z wrażeniem, że wszystkie elementy związane z komunikacją zapośredniczoną przez Internet, pozyskiwaniem wiedzy za pomocą sieci, zawiązywaniem relacji czy interpretowaniem różnych zjawisk kultury Internetu — wszystkie one są „dzieciom sieci" dane, niczym zestaw chromosomów, dziedziczonych niezależnie od jednostkowej woli. Tak jednak nie jest, i także te dzieci, które wychowywały się z laptopem pod poduszką, muszą dysponować odpowiednim kapitałem kulturowym, aby rzeczywiście reprezentować pokolenie opisane przez Czerskiego.

W klasycznej już typologii kultury antropolożka Margaret Mead rozpoznaje „kulturę prefiguratywną", definiując ją jako taki typ kultury, w którym młodsze pokolenie uczy starsze, modyfikując w ten sposób tradycyjny kierunek transmisji wartości. Kul-

[1] Netnografia to zbiór metod i technik badawczych wypracowanych na gruncie etnografii i w twórczy sposób aplikowanych do prowadzenia badań przez internet. Netnografia to etnografia w internecie. Źródło: `http://ibi-digitalmedia.pl/pl/produkty/netnografia.html`.

tura ta jest efektem przemian świata nowoczesnego (czy nawet — jak twierdzą niektórzy: ponowoczesnego), nierozerwalnie związanych z innowacjami technologicznymi, także komunikacyjnymi. Bez wątpienia, kultura prefiguratywna to my, teraz, tutaj. To dzieci sieci, uczące starsze rodzeństwo i rodziców, jak funkcjonować w tak zagadkowym świecie, w którym w kieszeniach spodni nosimy komputery o zaawansowanych mocach technologicznych, niewyobrażalne jeszcze dekadę temu.

Moja dwuletnia bratanica bez problemu obsługuje dowolne urządzenie z ekranem dotykowym, intuicyjnie uruchamiając czytniki, smartfony czy tablety. Każdy z nas ma w swoim otoczeniu takie dziecko lub przynajmniej widzieliśmy je na filmiku zamieszczonym na YouTube (np. tym, w którym kilkunastomiesięczna dziewczynka doskonale radzi sobie z obsługa iPada, nie do końca jednak udaje jej się to z papierowym magazynem, który zdaje się nie zachowywać zgodnie z jej oczekiwaniami). Z zaskoczeniem i oczarowaniem obserwujemy więc te dzieci, które bez żadnego onieśmielenia podchodzą do gadżetów elektronicznych, w mig rozszyfrowując sposób ich działania, przeznaczenie, i odnajdując interesujące aplikacje. Dzieci sieci jak się patrzy.

Problem pojawia się jednak wtedy, kiedy samo intuicyjne uruchomienie urządzenia to za mało, a bezproblemowe dotarcie do ulubionych stron nie pozwala na poszerzenie wiedzy. Problem pojawia się także wtedy, kiedy liczba dostępnych źródeł wiedzy zdaje się być nieskończona. Prawdę powiedziawszy, są to te same problemy, które chyba od zawsze związane są z edukacją: umiejętność pozyskiwania informacji czy sprawna weryfikacja źródeł wiedzy są niezbędne bez względu na to, czy korzystamy z zasobów szkolnej biblioteki, czy wpisujemy zapytanie do wyszukiwarki.

Nie wspomina o tym Czerski, wyraźnie to jednak było widać w naszym badaniu, które obejmowało również obserwację zachowań w szkole, podczas lekcji informatyki oraz przerw w zajęciach. Jak się szybko okazało — stosunkowo sprawne obsługiwanie nowych narzędzi i intuicyjne podejście do nich to zdecydowanie za mało, aby móc rzetelnie zdiagnozować wartość odnalezionych informacji lub samodzielnie spróbować odszukać nowe źródło wiedzy. Dzieci i młodzież, podobnie jak i wielu starszych użytkowników Internetu, korzystają z utartych ścieżek pozyskiwania wiedzy. Jeśli wyszukiwarka, to Google, jeśli kompendium przystępnie przedstawionej wiedzy na każdy temat, to Wikipedia, jeśli wiadomości z kraju, to jeden ulubiony portal itd. Konieczność wyjścia poza utarte schematy i odnalezienia stron, na których nigdy nie byli i których sposób funkcjonowania nie jest do końca dla nich klarowny, błyskawicznie odsłania cały obszar niewiedzy, niepewności i braku kompetencji.

Bez względu na to, jakiej przydawki do ich opisu użyjemy — dzieciom potrzebna jest edukacja. Możliwe, że teraz, w obliczu wielu dostępnych źródeł informacji, jest ona potrzebna bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej. Równocześnie jednak, właśnie ze względu na swoje „usieciowienie", dzieci te stają się po części partnerami swoich nauczycieli. Jest to sytuacja bez precedensu, wymagająca — oprócz diagnozy — propozycji koniecznych zmian w programach nauczania, a także — w sposobach oceniania.

MIREK FILICIAK

Czekając na utopię

Manifesty rządzą się swoimi prawami. Nie szkicuje się ich cienkim ołówkiem, lecz kreśli grubym flamastrem. Wystukuje boldem. To chyba oczywiste, że nie sposób przykładać do nich tej samej miary, co np. do tekstów akademickich. Warto przyglądać się im z innej perspektywy — przede wszystkim w kontekście dyskusji, które uruchomiły. *Dzieci sieci* są w tym względzie przykładem intrygującym, bo manifest był konsekwentnie krytykowany, chyba trochę zbyt gorliwie, przez kolejnych publicystów. Ta gorliwość mimochodem dowiodła, że manifest Czerskiego uciska jakiś nerw, dotyka istotnego problemu. Bez szczególnej precyzji, operując skrótami i uproszczeniami. Za to mocno i na swój sposób skutecznie.

Dlaczego *Dzieci sieci* tak rozdrażniły? Może dlatego, że Internet to temat, który aż prosi się o przyjęcie mentorskiego tonu świadomego użytkownika. O ośmieszenie tych rzekomo mniej świadomych, a przy okazji — o przywołanie kombatanckiej opowieści o własnych doświadczeniach, być może okraszonej nostalgicznym westchnieniem tęsknoty za pionierskimi czasami, które już nie wrócą. Odpowiedzi na manifest były więc dobrą okazją do pokazania, jak bardzo mylą się ci, którzy mają mniej lat, niż prasowi komentatorzy. Jak te dzieciaki w ogóle mogą zabierać głos, przecież nie mają o niczym pojęcia. Głupi gówniarze.

Mój problem z takim podejściem nie polega na tym, że z *Dziećmi sieci* zgadzam się całościowo i bez wyjątku. Raczej na tym, że cyniczny dystans nie zawsze jest oznaką mądrości, bywa też przejawem niezrozumienia i — co chyba najgorsze — narzędziem tłumienia spontanicznej energii. Takiej jak ta, która uwolniła się podczas protestów przeciwko ACTA. Takiej, na której brak tak często narzekamy. I choć sam mam coraz bardziej ambiwalentny stosunek do zmian kulturowych, które artykułuje tekst Czerskiego, to nie odmawiam innym prawa do bardziej jednoznacznych sądów.

Oczywiście mam wątpliwość co do możliwości zaistnienia manifestów w dzisiejszym, poszatkowanym na nieskończenie wiele nisz świecie — bo czyż częścią diagnozy *Dzieci sieci* nie jest stwierdzenie, że pisanie „my" jest dziś jeszcze mniej uprawomocnione, niż w było przeszłości? Jeśli więc *Dzieci sieci* artykułują tęsknotę za „my", to w tym aspekcie jest to tekst sentymentalny i anachroniczny. Bo przecież są różne dzieci, różnych sieci. Ale można spojrzeć na to inaczej: jeśli nawet „my" jest niejednorodne, to jest inne niż „wy". Adresaci tego „wy" to właśnie rozdrażnieni komentatorzy, reprezentanci pokolenia, które w manifesty kiedyś wierzyło. We wszelkich spontanicznych ruchach opartych na logice sieci nie chodzi przecież o legitymizację nowego porządku, bo taki, w liczbie pojedynczej, nie istnieje. Raczej o pokazanie się tym, których porządek właśnie legitymizację traci.

Gdybym mógł do głosu Piotra Czerskiego coś dopisać, to pewnie drugą część, awers historii o życiu dzieci sieci. Kontekst dla jej zrastania się z codziennym doświadczeniem nie tylko młodych (ale też nie zawsze tak sprawnych komunikacyjnie, jak sugeruje manifest) Polaków. To przemiany systemowe i neoliberalna ideologia, która dla wielu „cyfrowych tubylców" pozostaje przezroczysta. Internet świetnie się z nią skleił, rozbudzając naiwne, jak dziś wiemy, marzenia o polskiej klasie kreatywnej, ale też stymulując konsumpcyjne aspiracje, których nie sposób dziś zaspokoić. Ten dopisek wytrąciłby być może argumenty krytykom *Dzieci sieci*. Pokazując problem, jaki z nimi mamy — nie tylko z dziećmi sieci, ale też z porzuconymi dziećmi boomu edukacyjnego, a dziś może przede wszystkim dziećmi kryzysu. Dopominającymi się o podmiotowość i o swoje prawa. Oszukanymi i niepotrzebnymi.

Chciałbym wierzyć, że walka tej grupy może być jakąś drogą do korekty systemu — nie tylko praw autorskich, lecz większej całości, której prawa autorskie są emanacją. Systemu, który utowarowił wiedzę i treści kultury, równocześnie zachłannie czerpiąc z ich społecznych zasobów. A czy naprawdę w to wierzę? Nie wiem. Przekonanie, że to możliwe, trąci naiwnością. Ale przecież wciąż jeszcze mamy prawo do utopii i marzeń. Pod tym względem warto być dzieckiem.

III

SYLWIA CHUTNIK

Dzieci złapane w sieci

Teza Piotra Czerskiego zawarta w jego tekście *My, dzieci sieci* o wartościach wolności: słowa, dostępu do informacji czy kultury poparta jest swoistym „antypokoleniowym" manifestem skonstruowanym na przekór — w formie wspólnotowego głosu. Trudno się z nim nie zgodzić, wszak liczne próby sztucznego ujednolicenia młodych ludzi kończyły się koturnowym szufladkowaniem na potrzeby kolejnej jałowej dyskusji medialnej. Tak, jesteśmy pokoleniem wyrastającym z przekształcenia rzeczywistości, która poziom realny rozszerzyła o wirtualny, cyfrowy i porusza się teraz swobodnie między podwórkiem a ekranem komputera. Rzeczywistość jest bardziej elastyczna niż zwykle: pozwala się lepić w zależności od potrzeb, kusi zmiennością i tymczasowym ukorzenieniem. Dla tradycjonalistów to sytuacja alarmująca, zmierzch jasnych podziałów i hierarchii. Dla ludzi swobodnie poruszających się między wersją trójwymiarową a sieciową takie zmiany są czymś naturalnym. Czymś, co zastali, wchodząc w świadome życie, i nie wyobrażają sobie innej sytuacji niż ta obecna. Wspólnotowość sieci, jej nieskończona pojemność i globalna uniwersalność jest wygodnym „dyskiem zewnętrznym" naszej świadomości, jak pisze o niej Czerski. Dobrze jest mieć coś wspólnego, jakąś bazę. Może nie wartości, ale z pewnością informacji i produktów, z których można od biedy przygotować zaczyn wspólnych doświadczeń. Według tej zasady dzieci na całym świecie wychowują się na takich samych filmach i grają w takie same gry. Niezależnie od miejsca zamieszkania posługują się podobnymi sformułowaniami zaczerpniętymi z bajek, bawią figurkami postaci z wysokobudżetowych hitów i mają dzięki temu ujednoliconą bazę: rozmów i, być może, poglądów. Ich dysk zewnętrzny napełnia się równomiernie, niezależnie od poziomu ekonomicznego. Zgodnie z wolnym dostępem do kultury, masowością i wielokrotnym przetwarzaniem obrazów (telewizja, komputer, komórka, tablet).

Mimo wszystko pozostajemy indywidualistami spędzającymi czas niczym voyeuryści podglądający ekscytujące sceny na YouTube czy serwisach społecznościowych. Indywidualizm tworzy tymczasowe wspólnoty, bazujące na dzieleniu się, share'owaniu, linkowaniu i udostępnianiu. Zapraszamy na chwilę do swojego świata zbudowanego z części, które można znaleźć na dysku zewnętrznym. Od czasu do czasu dodajemy coś od siebie: memy, film, hasło w Wikipedii. Na zasadach *peer to peer* rozszerzamy coraz bardziej bezgraniczne pola eksploatacji kultury i informacji. Robimy to w imię spontanicznej sprawiedliwości: wzięłam coś od dysku, to chcę również coś dodać od siebie. Nikt nas nie rozlicza i nie sprawdza, dzielimy się i dodajemy według swoich zasad i subiektywnie pojmowanej kwestii dzielenia się i korzystania z dóbr sieci.

Jak to się odnosi do życia w świecie 3D? I, najważniejsze, jak to się ma do wolnościowego widzenia świata? Sama wolność jako cnota — zgadzam się. Ale postrzeganie tej wolności nas różni, a czasem przybiera karykaturalne wręcz formy.

Piotr Czerski stawia tezę, że nowe pokolenie dzięki technologicznym zdobyczom ma niemal naturalną wiarę w wolność i demokratyczne procesy, niehierarchiczne struktury, a dzięki globalnej sieci jej uczestnicy odczuwają wspólnotę zainteresowań i poglądów zarówno z sąsiadem z tej samej ulicy, jak i kimś, kto mieszka na drugiej półkuli.

Niewątpliwie internet staje się na naszych oczach medium dominującym, w niektórych dziedzinach wypierającym na przykład tytuły prasowe, zastępowane przez wydawców wersjami elektronicznymi. Głośny był przypadek rezygnacji z wersji papierowej tygodnika „Newsweek". Na razie decyzja dotyczy tylko wydania amerykańskiego, ale nie trzeba być szczególnie przewidującym, aby dostrzec, że mamy tu raczej do czynienia nie tyle z incydentem, co z początkiem pewnego procesu. W Polsce coraz głośniejsze są plotki o podobnej decyzji dotyczącej „Gazety Wyborczej", jeszcze dekadę wcześniej niekwestionowanego lidera prasy codziennej.

Warto się zastanowić, czy nowa era podłączenia milionów ludzi do globalnej sieci rzeczywiście przyczynia się do propagowania ducha wolności i demokratycznych ideałów. Najlepiej zacząć od własnego podwórka, bo tu też pewne procesy mogą być lepiej zrozumiałe niż przykłady z bardziej odległych krajów.

Pozornie demonstracje w sprawie nowych regulacji dotyczących internetu, znane jako anty-ACTA, mogą tylko potwierdzać tezę. Tysiące młodych Polaków wyległo, pomimo mrozu, na ulice, aby wykrzyczeć niezgodę na zwiększenie kontroli nad przestrzenią internetową. Głośno domagali się prawa do wolności w sieci i nieingerowania w tą przestrzeń przez czynniki rządowe albo korporacyjne. Wydawałoby się, że nic, tylko się cieszyć. Oto rzesze podpiętych pod „dysk" walczą w imię wspólnotowej świadomości, niezależnej od pieniędzy czy hierarchii. Mogliśmy potem zobaczyć, jak na węgierskich czy niemieckich demonstracjach zainspirowanych masowymi polskimi protestami skandowane są niektóre hasła po polsku, jakby w podziękowaniu za zwrócenie uwagi przez Polaków na problem wprowadzania wirtualnej cenzury po cichu. Wszak regulacje, o których mowa, dotyczyły wszystkich krajów Unii Europejskiej. I tu dochodzimy do zasadniczej kwestii — czy ktoś, kto krzyczał: „Nie dla ACTA", może być z automatu traktowany jak zwolennik nieskrępowanej wolności wypowiedzi i dostępu do informacji, jak to chciało widzieć wielu komentatorów?

Należy raczej stwierdzić, że jest to przykład myślenia życzeniowego, podobnie jak przekonanie Czerskiego, że ludzie wychowani na powszechnym dostępie do internetu cenią sobie ten dostęp jako kanał umożliwiający uczestnictwo na przykład w kulturze i że to wszystko przekłada się mimochodem jeszcze na wiarę w prawdziwą demokrację, o „jakiej nie śniło się publicystom" starszej daty. Dlaczego trudno podzielać ten hurra-optymizm, mimo zgody na wspólnotowość? Ano dlatego, że nic nie wskazuje na to, żeby młodzi ludzie cenili sobie jakoś szczególnie mocniej takie wartości, jak wolność i demokrację, niż starsze pokolenia. Faktycznie, pewne rozwiązania technologiczne są dla nich oczywiste i lepiej się w nich obracają. Proste: bo w nich dojrzewali i bez nich świat staje się coraz bardziej niemożliwy. *It's the end of the world as we know it — and I feel fine*[1], ponieważ nie muszę wysyłać listów na poczcie i czekać tygodniami na odpowiedź, tylko wchodzę na Skype'a i konwersuję, kiedy chcę. Szybkość i niezawodność, brzmi jak idealny slogan. Ale czy reklamować on może poczucie wolności?

Rozwój technologii sprzyja, ale nie przekłada się automatycznie na wyznawane poglądy czy deklarowane wartości. Jeżeli już mowa o demonstracjach ACTA, to organizowali je w niektórych miastach (na przykład w Łodzi) przedstawiciele skrajnie prawicowych formacji politycznych w rodzaju Obozu Narodowo-Radykalnego. Liderzy tej organizacji nie kryją nienawiści do demokracji i otwarcie deklarują chęć zastąpienia obecnego ustroju narodową dyktaturą. Organizowali demonstracje przeciw ACTA głównie dlatego, że szczerze gardzą obecną ekipą rządową z premierem na czele, a poza tym internet stał się dla nich doskonałych polem do własnej propagandy. Gdy na warszawskiej demonstracji pod Pałacem Prezydenckim pojawił się Janusz Palikot, znienawidzony przez narodowych radykałów za swoje poglądy w kwestiach obyczajowych, został szybko otoczony, a potem nawet uderzony w twarz przez działacza Młodzieży Wszechpolskiej. Pochwalił się potem tym wyczynem swego kolegi na jednym z prawicowych portali prezes tej organizacji Robert Winnicki. Jak wolność w wyrażaniu poglądów, to na całego.

O tym, że internet może być miejscem do szerzenia wszelkich poglądów, w tym tych zupełnie przeciwnych wolnościowym, nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Ilość agresywnych komentarzy jest wprost proporcjonalna do stopnia frustracji ich autorów i wpisuje się w stosunkowo nowe zjawisko zwane cyberprzemocą. W skrajnych przypadkach możemy mówić nawet o linczu internetowym. Głośna była sprawa pielęgniarki opiekującej się brytyjską księżną Kate. Po tym, jak dała się podejść parze radiowych dziennikarzy podszywających się pod rodzinę królewską, nie wytrzymała ciśnienia i fali złośliwych komentarzy w internecie. Znaleziono ją martwą w jej domu. Wszystko wskazuje, że popełniła samobójstwo. W tym momencie ostrze internetowych haterów natychmiast zwróciło się przeciwko dziennikarzom i ich redakcji. Ktoś musi być winny.

Wracając do krajowego podwórka, niestety nie ma przesłanek, aby uważać, że zwiększający się z każdym rokiem dostęp do internetu wzmacniał tendencje prodemokratyczne czy też wolnościowe. Na naszych oczach możemy obserwować swoisty przechył na prawo wśród młodych ludzi, czego najlepszym przykładem jest porównanie frekwencji na

[1]Ang.: To koniec świata takiego, jaki znamy — i czuję się z tym dobrze. (Tytuł piosenki amerykańskiej grupy rockowej R.E.M. z 1987 r.) Red. WL.

rozmaitych marszach z okazji 11 listopada. Kilkadziesiąt tysięcy w większości młodych ludzi przyszło na Marsz Niepodległości organizowany przez wspomniany ONR i Młodzież Wszechpolską. Obie organizacje otwarcie wypowiadają się za przejmowaniem ulic, działaniami radykalnymi i wrogo odnoszą się nie tylko do jakichkolwiek przejawów lewicowości (nazywanych tam pogardliwie lewactwem), a nawet do takich formacji politycznych, jak Prawo i Sprawiedliwość. Dla nich to zgniła i „umoczona" prounijna partia zdrady. Taką demonstrację ochoczo wsparły środowiska kibicowskie z niemal całej Polski, zjednoczone hasłem „Donald, matole, twój rząd obalą kibole". Agitacja na demonstrację 11 listopada odbywała się równolegle na stadionach i w internecie. Na prawicowy radykalizm wśród kibiców niewątpliwie miała wpływ nieprzemyślana, delikatnie mówiąc, wojna rządu ze stadionowym chuligaństwem, gdzie wszystkich kibiców wrzucono do jednego worka. Wiele z tych grup w ostatnich latach jednoznacznie opowiedziało się bardzo mocno po prawej stronie sceny politycznej. Oczywiście, sporo w tych deklaracjach jest frazeologii odnoszącej się do wolności, jednak jest to wolność szczególnie pojmowana, gdzie słowo „tolerancja" jest epitetem, a hasło „śmierć wrogom ojczyzny" jest traktowane dosłownie i jako obietnica jedynie odroczona w czasie. Wystarczy wejść na najpopularniejsze fora kibicowskie, aby przekonać się o sympatiach i wyznawanych wartościach. Nawet pobieżna lektura niektórych nicków nie pozostawia złudzeń, z kim ma się do czynienia. Bynajmniej nie należą do wyjątków uczestnicy politycznych dysput na tych forach, dopisujący do swych nicków nieprzypadkowe cyfry 14 albo 88 (obie odpowiadają kolejnym literom w alfabecie i są zakamuflowanym oddaniem czci Adolfowi Hitlerowi), wstawiający banery z logiem Blood & Honour. Krzyż celtycki z dopiskiem White Pride jako avatar nikogo specjalnie tam nie dziwi. Wpisy w rodzaju: „potrzeba nam nowego führera" albo serwujące listę „prawdziwych" nazwisk najważniejszych polityków ostatniego 20-lecia też nie pozostawiają złudzeń co do wyznawanej ideologii. Niezgoda na obecność obcych, wrogość do innych religii czy zwykły antysemityzm jest tam oznaką posiadania własnych poglądów. Jeżeli ktoś ośmiela się je zakwestionować, zarzuca mu się indoktrynację przez TVN, Blumsztajna i Michnika. Problem w tym, że poza pojedynczymi przypadkami, nikt z ludźmi o skrajnych poglądach na tych forach właściwie nie polemizuje. A jeżeli już, to niemal natychmiast pojawiają się agresywne wpisy (w rodzaju: mamy twoje IP, namierzymy cię) skierowane wobec tych nielicznych, którzy ośmielają się wyrazić inne niż dominujące zdanie na dany temat. Obowiązujący kanon poglądów jest wypracowany i co tu dużo mówić, daleki od wolności rozumianej w duchu liberalnym (nawiasem mówiąc, to słowo również jest w tych kręgach traktowane jako obelga). Dlatego trzeba naprawdę wykazać się sporą odpornością na rzeczywistość, aby wciąż utrzymywać, że mamy do czynienia z prodemokratycznie i niehierarchicznie nastawionym pokoleniem dzieci z sieci. No chyba że mamy na myśli naprawdę dzieci, dzielące się kodami do gier na serwerach.

Nie chodzi tu przecież o utyskiwanie nad tymi „z innymi poglądami niż nasze". Pojemność i dostępność sieci wyzwala różne emocje i zbiera różnych ludzi, często o wykluczających się systemach wartości. Nie można jednak udawać, że — mimo różnic — łączy ich poczucie wolności. A jeśli już, to do wyrażania swoich poglądów. To fakt. Pozostaje tylko pytanie, co te poglądy ze sobą niosą i gdzie kończy się wolność w przypadku, gdy ktoś wykorzystuje ją do jawnego wzywania do nienawiści?

Współpraca: Zbigniew Modrzewski

MARIA ŚWIETLIK

ACTA — polityka i emocje

Określenie „dzieci sieci" sugeruje istnienie wspólnoty. Ale czy faktycznie zawsze, gdy wychodzimy na ulice w tej samej sprawie, czyni to z nas wspólnotę? To język polski robi nam psikusa, sugerując związek między czymś, co de facto powiązane nie jest. Kim są wiec dzieci sieci, które wyszły na ulice — te asfaltowe i te wirtualne, prowadzące na strony rządu czy Sejmu? I o co walczyły?

*

Naukom społecznym trudno jest opisywać zjawiska niepowtarzalne, niezrytualizowane. Jak zbadać coś, co się zdarzyło spontanicznie i już zgasło, co nie ma rozpoznawalnej struktury czasowej, a co gorsza organizacyjnej? Jak wyjaśnić fenomen polskiego buntu przeciw ACTA?

Sprawa protestów przeciw ACTA swoją dynamiką i charakterystyką wskazuje na zjawisko zwane paniką moralną. Termin ten określa społeczne wzburzenie na skutek zagrożenia porządku społecznego i/lub systemu wartości. Przykładami paniki moralnej są procesy „czarownic" w Salem, antysemickie czy antyromskie pogromy, panika wywołana pogłoskami o satanistach molestujących seksualnie dzieci w czasie czarnych mszy, lęk przed AIDS w latach 90., a ostatnio oczywiście przed terroryzmem. W tej szerokiej kategorii mieszczą się też reakcje na faktoidy, jak słynna historia z książką H.G. Wellsa o kosmitach lądujących na Ziemi, która czytana w radiu została odebrana jako relacja na żywo z inwazji Marsjan.

Wszystkie te wydarzenia miały kilka cech wspólnych. Po pierwsze: wydarzenia powodujące panikę moralną postrzegane są jako powstałe niezależnie od woli publiczności, niepodlegające kontroli społecznej, katastrofalne i dalekosiężne w skutkach.

Po drugie, tych, którzy są sprawcami zła, uważa się za potężnych, ale jednocześnie ukrywających swoje prawdziwe motywacje.

Po trzecie, w odczuciu społecznym zagrożony jest spokój, podstawowe wartości moralne i/lub interes zaniepokojonej grupy.

Po czwarte, nie jest istotne, czy zagrożenie jest realne, czy też jest tylko skutkiem nieporozumienia, świadomej manipulacji, czy głęboko zakorzenionych stereotypów. Ważne, że zaniepokojenie społeczne jest autentyczne.

Po piąte, zagrożenie powoduje silne wzburzenie emocjonalne. Pojawiają się lęk, przerażenie, niepokój, wrogość. Jednocześnie wśród publiczności rodzi się poczucie prawości i konieczność obrony swojego światopoglądu, akceptowanego przez nią porządku społecznego.

„Sprawa ACTA" moim zdaniem spełnia te wszystkie warunki: przepisy powstały w odczuciu protestujących ponad ich głowami, decyzja o podpisaniu przez polski rząd umowy nie była konsultowana społecznie, a nawet można było pomyśleć, że próbowano ten fakt ukryć. Z ACTA skorzystać mieli właściciele ponadnarodowych koncernów. Tzw. internauci uważali, że ACTA zagrożą ich stylowi życia, że odbiorą im to, co oni uznają za swoją wolność. Wszystko to wzburzyło wiele polskich obywatelek i obywateli, a część z nich wzięła udział w ulicznych i wirtualnych akcjach protestacyjnych. To wzburzenie stało się jedną z motywacji do udziału w masowych protestach.

*

Reprezentanci nauk społecznych borykają się z problematyką emocji jako elementu zachowań zbiorowych. Jaką rolę odgrywają w trakcie protestów, i ile w związku z tym jest w nich racjonalności? Badacze z początków XX wieku sugerowali, że za czynnym udziałem w protestach stoi przede wszystkim alienacja lub skłonność do przemocy. Gustaw Le

Bon wprowadził pojęcie psychologii tłumu. W trakcie protestów ludzie mieli zatracać umiejętność osądu i wytwarzać coś w rodzaju kolektywnego Ja — stawali się emocjonalni, nieopanowani, popędowi.

Freudowsko zorientowani psycholodzy widzieli u protestujących symptomy niedojrzałości, kryptohomoseksualizm albo efekty zaburzenia fazy oralnej i/lub analnej. Zaangażowanie politycznie postrzegane było także jako kompensacja niedostatków życia prywatnego. Dla innych badaczy protestujący to desperaci, którzy po prostu muszą w coś (cokolwiek) wierzyć, kierując się potrzebą udziału w jakimkolwiek ruchu społecznym, który zrekompensuje im brak silnej tożsamości. Uczestnicy protestów byli w taki ujęciu niejako zmuszeni brać w nich udział pchani przez „wewnętrzne demony". Krótko mówiąc — nieracjonalni.

Także protesty '68 roku były opisywane jako bunt edypalny, a uczestnikom protestów „zarzucano" narcyzm, poczucie niedowartościowania, kryzys tożsamości, nienawiść do samych siebie. Jakkolwiek czytelnikom tego tomu mogą się wydawać absurdalne te opisy, pamiętajmy, że mają one istotny wpływ na to, jak i dziś opisuje protestujących mainstream: liberalne media, politycy, indyferentna większość.

Marksistowscy krytycy, sami często biorący udział w wydarzeniach Maja '68, wskazywali na racjonalny wymiar masowych protestów jako elementu strategii politycznej. W tym świetle emocje były raczej czymś, co można wykorzystać w drodze do celu. Umiejętne zarządzanie emocjami było cechą dobrego lidera. To spojrzenie dominowało przez wiele lat. Ostatnio badacze zaczęli wskazywać na inne, nie-racjonalne (czyli nieukierunkowane na cel polityczny) powody brania udziału w masowych protestach — takie jak poczucie niesprawiedliwości obecnego układu społecznego, czy motywacje „towarzyskie" (idę, bo zaprosiła mnie koleżanka, której nie chcę odmówić).

Inna koncepcja opisująca protestujących wskazuje na rolę „tożsamości zbiorowej". Pojęcie to obejmuje nie tylko identyfikację z pewnym wspólnym systemem wartości, ale także poczucie więzi z członkami grupy (w tym przypadku — innymi uczestnikami protestu). Przyjrzyjmy się tej koncepcji w kontekście ACTA.

Siła tożsamości, także tej opartej na podzielanym światopoglądzie, bierze się z emocji, takich jak zaufanie, lojalność, oddanie wobec członków grupy. Ale skąd te emocje? Zdaniem antropologów emocje, choć mają swoje biologiczne podłoże, to określane są przez kulturową ramę, która decyduje o tym, kiedy i jak są wyrażane.

Jednym z powodów, dla których trudno jest badać emocje protestujących, jest to, że wiele z nich jest głęboko wypartych, nie tylko przez badaczy, ale i samych protestujących. Nauka, racjonalność, a nie uczucia, dominują dyskurs polityczny. Polityk, który nie okazuje uczuć, wygrywa z tym, który daje się wytrącić z równowagi. Przemawiać mają dane (najlepiej twarde i liczbowe), prognozy wzrostu i sprzedaży, a nie subiektywne odczucia. Nic więc dziwnego, że na sztandarach znajdziemy żądania podwyżki płac, a nie poziomu szczęścia. Sami protestujący wchodzą w ten dyskurs, bo podziały na polityczne-prywatne, racjonalne-emocjonalne, kulturowe-naturalne (i kobiece-męskie) są wciąż obecne w popularnym myśleniu o polityce.

Ale to emocje łączą ludzi — także w sferze publicznej. To one tworzą takie moralne odczucia, jak wstyd, poczucie winy, duma, moralne oburzenie. Warto zwrócić uwagę, że jeden z nurtów protestu przeciw neoliberalnej polityce sam nazwał się „Oburzeni", wynosząc aspekt emocjonalny na sztandary. Jeszcze kilka lat temu te same mniej więcej poglądy wyrażane były pod hasłem alter-globalizmu, a więc w dyskursie racjonalności.

W jakich warunkach wytwarzają się emocję budujące więzi? Są to wspólne przeżycia, czyli aktywności, którym towarzyszą silne wrażenia psychiczne. Im częściej powtarzane, tym lepiej ugruntowują więź (tak, że z czasem staje się ona zinternalizowana, zautomatyzowana). Taką moc mają wszelkie publiczne rytuały, takie jak parady z okazji Dnia Niepodległości. Integrują światopogląd, symbole i władzę. Ponadto jako praktyki angażujące ciało wytwarzają i podtrzymują emocje, a przez to wytwarzają i podtrzymują poczucie wspólnoty.

Współcześnie rytuały służą społeczeństwom, by przydać autorytetu poszczególnym osobom, ale także organizacjom, czy wartościom. David I. Kertzer zdefiniował rytuał jako symboliczne zachowanie, które jest społecznie ustandaryzowane i powtarzalne. Jego zdaniem rytuały są niezbędnym elementem działalności politycznej, a te grupy polityczne,

które osiągnęły sukces, uzyskały to, bo świadomie, konsekwentnie korzystały z rytuałów legitymizujących i wzmacniających ich pozycję. Rytuały wzmacniają solidarność wewnątrz grupy.

Udział w masowym proteście może doprowadzić do odczucia, że jest się częścią większej jednorodnej całości, która przenosi nasze indywidualne Ja na wyższy poziom, na którym łączy się, dając doświadczenie Jedności z innymi ludźmi (nie tylko tymi maszerującymi w tym samym proteście). Demonstracje są doskonałą okazją do takich wzruszeń (miałam okazję doświadczyć tego na swej niechętnej wspólnotowości skórze). Jeszcze głębiej się tego doświadcza, maszerując przez centrum miasta, po ulicy, którą „normalnie" nie wolno iść — to daje uczucie super-mocy, a o to między innymi, by odzyskać poczucie sprawczości, w protestach chodzi. Chcemy zmusić władze, by nas wysłuchały, chcemy odzyskać wpływ na decyzje, które przekładają się na nasze życie, nie zgadzamy się na przedmiotowe traktowanie. Bywa i tak, że protestujący rozumieją, że ich działania są czysto symboliczne (nie przełożą się na efekt prawny), ale mimo to chcą zaznaczyć swoją obecność choćby jako świadków działań władzy, która pewnego dnia będzie się musiała z nich rozliczyć.

To odczucie pozostaje w pamięci nawet po zakończeniu protestu. Co ważne, by stało się silne, potrzebne jest jego wielokrotne powtarzanie. W przypadku ACTA mieliśmy natomiast do czynienia z serią spontanicznych, nieustrukturyzowanych wystąpień, które nie miały szansy przerodzić się w rytuał, bo emocje takie jak gniew zbyt szybko wygasają. I właśnie w tej ulotności protestów kryje się różnica między nimi a rytuałami, chociaż zawierają one niektóre elementy symboliczne[1].

Problem w tym, że dzieciom sieci w ogóle brak jest rytuałów, które by ich uczyniły wspólnotą. Życie w sieci nie sprzyja takim rodzajom przeżyć, które budują poczucie jedności z innymi. To bliskie transcendencji odczucie pojawia się, gdy jesteśmy w grupie w stanie pobudzenia emocjonalnego. Tego rodzaju przeżycia raczej nie da się wytworzyć w rzeczywistości wirtualnej. Tak jak wspólnotę kibicowską tworzy oglądanie meczów na stadionie w gronie kilku tysięcy osób, a znacznie rzadziej oglądanie transmisji na meczyki.pl. Więź tworzą wspólne przeżycia z wojska, a granie w strzelanki online już nie. Mimo że w obu przypadkach są i emocje i kontakt z innymi użytkownikami. Ale sama intensywność komunikacji — wbrew pozorom — nie wystarcza do stworzenia silnej więzi.

Dlatego Internet generuje raczej zbiór identycznych, ale indywidualnych tożsamości, niż wspólnotę połączoną poczuciem więzi z innymi.

*

Czy coś zatem w ogóle łączy dzieci sieci? Tym, co wytwarza pokolenie dzieci sieci, nie jest tego typu doświadczenie jak te, które uformowały Pokolenie Kolumbów czy Pokolenie '68. Cóż by to jednak miało być? Czerski pisze o podzielanym poczuciu wolności wyboru i samodefinicji. Zastanówmy się zatem, czy rzeczywiście dzieci sieci żyją w supermarkecie kultury? Czy poczucie wolności wyboru i samodefinicji dzieci sieci ma odzwierciedlenie w autentycznej swobodzie? Czy są wolnymi klient(k)ami supermarketkultury.24h.com o zawsze pełnych kartach kredytowych? Dziś wiele/u z nas (także tych starszych od dzieci sieci) czuje, że ta swoboda „zakupu" tożsamości, czy tworzących ją dóbr kultury jest tylko złudzeniem, różową mgiełką przesłaniającą brutalną prawdę. Na skutek kryzysu ta wyprodukowana przez neo-liberalny światopogląd mgiełka zaczęła się skraplać w postaci zimnego prysznica. Ale to właśnie ta obietnica, w którą uwierzyli, a potem gorzkie rozczarowanie mogą być wspólnym doświadczeniem kształtującym dzieci sieci. Można zatem mówić o wspólnej dla tego pokolenia trajektorii losu. To pojęcie opisuje sytuację społeczną, która zawęża swobodę podejmowania decyzji przez jednostkę na skutek niezależnych od niej procesów ekonomicznych, politycznych, społecznych czy

[1]Udział w demonstracjach bywa nawet opisywany jako coś w rodzaju świeckiej modlitwy: uruchamia emocje, ukierunkowany jest na konkretny cel, zawiera elementy symboliczne, angażuje cieleśnie, nadto zawiera często rytmiczne elementy (marsz, „przyśpiewki", klaskanie, skandowanie). W odróżnieniu od rytuału brak im jednak powtarzalności.

technologicznych. W tym sensie możemy mówić o podzielanym doświadczeniu pokolenia urodzonego nie tyle w internecie, co w globalizującym się świecie (internet jest elementem tej globalności).

Kolejne składniki tej trajektorii to konsumeryzm i indywidualizm. Oczywiście jeszcze przed zmianą systemu mieliśmy do czynienia z oboma tymi trendami. Najbardziej wybujała konsumpcja polegała jednak wtedy na jeżdżeniu na bazar po ciuchy z Turcji albo kupowaniu pary oryginalnych jeansów w Pewexie. Także indywidualizm nie jest nowym zjawiskiem w Polsce i wbrew pozorom nie stoi w sprzeczności z masowymi protestami, takimi jak sprzeciw wobec ACTA, a wcześniej karnawał Solidarności 1980/81.

*

Żeby zrozumieć, czemu zaistniał ruch ACTA, choć wielu zdawało się, że „ta dzisiejsza młodzież" nigdy nie wyjdzie na ulicę, trzeba odpowiedzieć na pytanie o co właściwie walczyła. Jak deklarowali sami uczestnicy, chodziło o wolność. To nie jest nowe hasło. My w Polsce lubimy przypominać sobie i światu, że to tu zaczęło się obalanie „komunizmu", że walka o wolność jest głęboko zakorzeniona w naszej kulturze. Ale wolność jest bardzo szerokim pojęciem, pozbawiona przydawki — niemal pustym znaczeniowo. Spróbujmy więc dookreślić, „o jaką wolność walczyliśmy".

W polskim etosie wolność sprowadzona została do suwerenności państwowej, a romantyczny indywidualizm wyrażał się samobójstwem na ołtarzu narodowej sprawy. O Solidarności, pisze się, że udało jej się obalić „komunę", bo pokonała podziały klasowe i w przeciwieństwie do zrywów z lat 50.–70. nie ograniczała się do jednej grupy społecznej. Krótko mówiąc, zerwała z przekleństwem indywidualizmu oraz partykularyzmu i walczyła o wspólnotowy interes. Rzecz w tym, co te podziały unieważniło, co jest na tyle istotne dla Polaków, że wyciąga ich na ulice. Obawiam się, że Polaków nie zmobilizowały wtedy postulaty socjalne, jak chciałaby dziś wierzyć lewica. To wolność poprowadziła lud na barykady. Karnawał Solidarności, który po raz pierwszy w PRL objął wszystkie warstwy społeczne, to był kolejny zryw niepodległościowy. Cała państwowotwórcza ideologia, którą przesiąkamy w procesie enkulturacji, trenuje nas do tego, byśmy reagowali emocjonalnym pobudzeniem na hasło „Wolność jest zagrożona".

Tu wyjaśnić warto, że wolnościowość to co innego niż lewicowość, choć są ruchy, które łączą obie idee. Ważnym elementem światopoglądu lewicowego jest afirmacyjny stosunek do wspólnotowości, ale rozumianej szerzej niż wyobrażona wspólnota pochodzeniowa (np. naród), co wyraźnie koliduje z polskim indywidualizmem.

*

O co zatem walczyły dzieci sieci? Domagały się nieograniczania dostępu do informacji i wytworów kultury. A co kryje się za pojęciem „wolność dostępu"? W zdygitalizowanym obiegu kultury, gdy nie ma już egzemplarza, który można by zawłaszczyć/posiąść, doszło do przeformułowania pojęcia własności. Owa własność dziś jest właśnie wolnością dostępu. Dlatego korci mnie, by wykorzystać metaforę „dzieci sieci" i powiedzieć, że owych dzieci nie łączy wspólna tożsamość i że nie walczyły o wspólny plac zabaw, ale że każde dziecko sieci poczuło silne zaniepokojenie, bo sądziło, że ktoś chce zabrać mu jego własne wiaderko. Ale ta metafora jest krzywdząca. Nie chciałabym umniejszać znaczenia tych protestów ani sprowadzać ich uczestników do poziomu rozwydrzonych gówniarzy, jak robiły to na początku media (to taki mainstreamowy „rytuał", by dyskredytować bunt, mówiła o tym m.in. Naomi Klein). Dzięki ubraniu postulatów w hasła wolności protesty ACTA odniosły frekwencyjny i medialny sukces. Nic też dziwnego, że ruch ACTA był koalicją różnych światopoglądów — od kibiców, korwinistów i narodowców po anarchosyndykalistów, a przede wszystkim indyferentnych politycznie obywateli. W tak szerokim haśle jak wolność — i tak specyficznie w Polsce rozumianym — każdy mógł znaleźć coś dla siebie. To hasło uruchamia emocje, a to wystarczyło, by zaangażować się w protest. Dzięki tej mobilizacji udało się przynajmniej na razie wygrać sprawę kluczową dla poziomu demokracji w Polsce i na świecie.

BIBLIOGRAFIA

E. Goode, N. Ben-Yehuda, *Moral Panics. The Social Construction of Deviance*, Oxford 1994.

David I. Kertzer, *Ritual, Politics & Power*, Yale 1988.

N. Klein, `http://www.democracynow.org/2011/10/6/naomi_klein_protesters_are_seeking_change`, dostęp 09.12.2012.

Passionate Politics. Emotions and social movements, [red:] J. Goodwin, J. M. Jasper, F. Polletta, Chicago and London 2001.

ROMAN BROMBOSZCZ

Dzieci wideo. O pokoleniu i jego otoczeniu medialnym

Chciałbym skomentować niektóre ze sformułowań, które znalazłem w tekście Piotra Czerskiego. Na początek chciałem zwrócić uwagę na nieco inne korzenie medialne, jeśli mówimy o pewnym tle, które towarzyszy naszemu dorastaniu.

Urodziłem się w 1976 roku. W 1983 roku w programie „Sonda" przedstawiony został magnetowid i kamera wideo. W szkole podstawowej miałem paru kolegów i koleżanki, którzy mieli magnetowidy. Pierwsza znana mi emisja wideo wydarzyła się w szkole podstawowej, ale były na nią zaproszone tylko osoby najlepsze, z dobrymi i bardzo dobrymi ocenami. Gdy kończyłem szkołę, mieliśmy już wideo i gdy wynieśliśmy się z matką na przedmieścia, poznawałem się z wieloma osobami w celu wymiany kaset.

Komputer pojawił się na pierwszym roku studiów, w 1996 roku. Wtedy nie było sieci w powietrzu, chociaż telefonia komórkowa rodzi się równolegle, i już w 2003 zaczynam interesować się siecią jako medium. Okres 1987-1996 to czas fascynacji muzyką metalową i *grind core* oraz filmami w dystrybucji wideo. Później pojawia się zainteresowanie muzyką *kraut rock*, *electronica*, muzyka poważna oraz tworzenie projektu Bromboxy.

Sieć postrzegam jako potencjał, ale nie uważam, by była ona matką, ani docelowym medium. W swoich działaniach artystycznych przyglądam się, jak łączy się świat wirtualny z rzeczą, materialnym, jednostkowym przedmiotem.

Czerski stwierdza, że dorastał z siecią i że w trakcie tego dorastania przerzucił część swojej pamięci do niej. Poza tym, pamięć ta jest wspólna, ogólnie dostępna. Mam do tych stwierdzeń taki stosunek, że postrzegam przerzucanie zdjęć i tekstów oraz wideo do sieci jako element autopromocyjny. Uważam, że jest to reklama. Niemniej, oponenci bycia-w-sieci z takim określeniem nie będą chcieli się zgodzić.

Wprowadzę tutaj *cztery aspekty wartości* i pokażę, że zwolennicy sieci, w tym dzieci sieci, są ślepi na jedną z tych części, a inną uznają za wrogą ich ideologii, ich obrazowi świata. Istnieje *wartość użyteczna* i *wartość wymienna*. Pierwsza z wartości dotyczy tego, jak możemy coś wykorzystać i zużyć. Powiedzmy, że jest to jakiś czas, mierzalny interwał czasowy. Dla systemów operacyjnych jest to parę lat, powiedzmy maksymalnie 10. Dla drewnianego stołu paręset lat. Dla foliówki z marketu trzy dni.

Wartość wymienna zależy od tego, jak dany przedmiot wymieniany jest na inne na rynku. Gdybyśmy prześledzili operacje barterowe oraz wymianę bezpośrednią, bez gotówki, wtedy widać było by czyste wartości wymienne tych przedmiotów, które znalazły się na rynku. Taka idealizacja przestała być możliwa, choć o taką w gruncie rzeczy zabiegał Karol Marks, a dziś zabiegają o nią zwolennicy sieci. Jest po temu powód, ponieważ w sieci, do pewnego stopnia, wartość wymienna jest na celowniku.

Wartość wymienną odnajdujemy poprzez pieniądze, cenę. To zapośredniczenie jest potrzebne, by można było kapitalizować *zysk*, chociaż zysk nie powstałby bez wartości wymiennej. Wartość wymienna i zysk, jako wartość dodatkowa, są tym, co wytwarza rynek jako efekt pracy wymiany. Wartość użyteczna jest umowna, można ją określić w czasie, ale w przypadku systemów komputerowych odległość od ich zastępowania na wyższe modele zmienia się na żądanie korporacji. Korporacje wprowadzają nowe systemy, tak jak tworzą serię następujących po sobie systemów Windows 95, Windows 98, Windows 2000, Windows XP, Windows Vista i w końcu, nieco się odsłaniając, Windows 7; liczba siedem wprost mówi o wprowadzanej zmianie, która następuje w interwale paroletnim.

Od 1983 roku obserwujemy serię sztucznych zmian środowiska elektronicznego, dokonywanych w celu ożywiania rynku. W latach osiemdziesiątych dominowały komputery Amiga i Commodore. Istniała scena demo i środowisko graczy. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych nie było po tych zjawiskach ani śladu. Pozostała resztka, która nie zmieściła się w sieci, tak jak nie ma w niej środowiska wideo, ani art zine'owego, czyli prasy niszowej z anty-przekazem.

Sieć wytrzebiła środowisko w tym sensie, że muzyka na kasecie przestała mieć sens. Istnienie kasety, a później CD, wpływało na dystrybucję w alternatywnym obiegu dóbr poprzez pocztę, na koncertach itp. Niedługo po nadejściu sieci, w drugim dziesięcioleciu XXI wieku, pojawiają się korporacje informatyczne, które przyciągają do siebie muzyków, grafików, poetów. Mówię o Blogspocie, MySpace, Archive i innych, którzy wytworzyli oprogramowanie umożliwiające zarządzanie treścią bez znajomości HTML, Java Script, Java, PHP.

Jakość, o której mówię, to pewna „podręczność" sieci, jej elastyczność. W tekście Czerskiego znajdziemy pytanie: „dlaczego mielibyśmy płacić za informację?" Rozumiem to tak, że cena jako obraz wartości, jaką jest zysk, nie jest tu brana pod uwagę. Czerski jest zdziwiony, że miałby płacić za coś, co posiada. Myślę, że można powiedzieć, że Czerski uważa, że ma coś, co dostał jako dar, okazję, traf, nagrodę lub coś bezcennego.

Jestem przekonany, że Czerski nie dostał poprzez sieć niczego bezcennego, ale dostał coś, co traktuje jako dar, okazję, traf i nagrodę. Jest to dar dlatego, że Czerski uznaje siebie za zaproszonego do konsumpcji, je, syci się, ale nie rozumie rachunku, czyta go jako wiersz. Jest to okazja, bo udało mu się zbiec przed rachunkiem i goni go list gończy. Jest to traf, bo udało się odpalić system i sieć. Jest to nagroda, która nie przychodzi.

Dzieci sieci nie uznają zysku z wymiany informacji. Poza tym aspektem pozostają opłaty abonamentowe. Zysk nie jest brany pod uwagę dlatego, że u korzeni sieci od 1968, od uruchomienia paru węzłów między wybrzeżami USA, sieć jest postrzegana jako wolna od opłat za wymianę. W sercu tej wymiany leży wymiana P2P, czyli programy do ściągania filmów i muzyki. Zgodnie ze sformułowaniem Marshalla McLuhana „nowe środowisko rujnuje stare", sieć rujnuje wcześniejszą dystrybucję, wideo i audio, w tym taśmy wideo i kasety oraz płyty gramofonowe.

W teorii wartości, którą proponuję, zysk stanowi kolejny, trzeci aspekt wartości, poza wymianą i użytecznością. Dla zysku budowało się fabryki i pałace. Zysk należy pojmować jako siłę napędową nowoczesności. Poza tymi trzema aspektami wartości istnieje *reklama*, którą można określić jako promieniowanie, lansowanie się, autokreację. W tej składowej mieści się pewna część zysku w tym sensie, że reklama prowadzi do podwyższenia ceny i tym samym zwiększa zysk. Istnieją reklamy firm, które bardzo mocno wykorzystują zysk, umniejszając wartość pracy. Poprzez inwestowanie w reklamę, lokowanie w nią, widzę dzieci sieci, które postrzegają siebie jako anty-zyskownych.

Lokowanie, czyli inwestowanie. Możemy uwypuklać składową, czyli inwestować w jedną z części wartości.

Anty-zyskowność, czyli występowanie przeciwko zyskowi. Marnotrawienie, reklama, która nie służy zyskowi, w końcu, postawa wymiany, która ośmiesza zysk. W taki sposób Napster wyśmiał koncerny fonograficzne. Dał takie pole do wymiany, że ochłodził zysk. Nie chciałbym powiedzieć, że zniszczył czyjś przychód, raczej, że powstały nowe kanały łączności. Niemniej użyteczność realnego jest czymś twardym i określonym. Natomiast użyteczność wirtualności, fantomu, który jest w sieci lub jest siecią — jest widmowa. Oznacza to, że opakowanie CD i muzyka na nim są przedmiotami, które zniszczyć może ogień, ale codzienność niczego w nich nie zmieni, aż do śmierci, a sieć wprowadza zmianę, w kolejnej generacji, po 16 latach od powstania w 1989, czyli około 2005, gdy powstaje YouTube.

Myślę, że określenie „dzieci sieci" nie jest sztywne. Tak zwane dzieci sieci nie są nimi natywnie. Określając się tak, widzą siebie, gdy dorastali i pojawiła się sieć. Ale nie są z siecią od urodzenia, czy powiedzmy od 5 roku życia. Sieć pojawia się w Polsce w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, czyli wtedy, gdy drugi raz wybrani zostają post-komuniści. Myślę, że część z osób, które poparły marsze, w tym także autor tego tekstu, to osoby, które nie miały sieci jako swojego natywnego korzenia, czegoś, co poprzedzałoby genetycznie ich narodziny.

W terminie „dzieci sieci" jest pęknięcie, które polega na tym, że poprzez ten termin widzimy odniesienie przedmiotowe, które nie potrafi się połączyć z nazwą. Są to: odniesienie do trzydziestolatków, odniesienie do dwudziestolatków. Dopiero odniesienie do nastolatków pasuje do tego terminu. Czy można ufać tej sile, która jawi się jako wynik połączenia terminu „dzieci sieci" z jego właściwym zbiorem referencji, czyli z nastolatkami?

Widzę ich jako bezdomnych i sieroty, które oddaliły się od domu, ale nie na tyle daleko, by nie móc jeszcze wrócić. Myślę tu o domu jako przebywaniu u siebie, w świecie wewnętrznym, pod powiekami, w wyobraźni, w myślach, tam, gdzie środek nie jest potrzebny, by do siebie dotrzeć. Odkładanie bycia w sieć i zupełne się w niej zatracenie możliwe jest tylko u dzieci sieci. Bycie odłożonym w sieć jest tutaj zatracaniem siebie, a nawet rzuceniem w fantom, tak, by stracić oparcie w fizykalnym i rozpłynąć się jak Slothrop w *Tęczy grawitacji* Thomasa Pynchona.

Sieć wytwarza taką logikę, w której wszystko może się łączyć ze wszystkim. Jest to coś w rodzaju równania z węzłami, gdzie każdy węzeł prowadzi do każdego innego. Tak w zasadzie działa przeglądarka internetowa. Jaka logika kieruje wyborem wyrażenia do wpisania? Gdy już znajdujemy wyniki, to skąd bierzemy nowe słowo? Czy jest tutaj następstwo przyczynowe?

Syntagmatyczne połączenia są asocjacyjne tak jak reklama Apple II z 1976 roku. Jeśli myślimy asocjacyjnie, to czemu nie komputer? Dlaczego dzieci sieci uznają aspekt sieciowości, ale nie widzą w nim głębszego porządku, komputerowego? Dzieci sieci mają mózgi wyprane na sieć, to znaczy, że są tak przeciwko innym środkom, takim jak telewizja, że mają sieć, jako wynik swojego deprogramowania. W ten sposób rodzi się pokolenie nerwowe, ale zarazem podatne na wstrząsy, które tworzą się w sieci. Wstrząsy te wywołuje „real", który jest niezwykle nieobliczalny w wyniku podłączenia do sieci.

Myślę, że dzieci sieci są podatne na mem śmierci. Chodzi mi tutaj o groźbę zlikwidowania pewnego aspektu sieci. To w gruncie rzeczy postulat wolności w zakresie rozpowszechniania poglądów, dzielenia się wiedzą, stoi u podłoża powstania, o którym mówimy. Dzieci sieci stanęły w obronie praw obywatelskich, domagając się odstąpienia od pewnych roszczeń prawnych. Wystąpiły przeciwko korporacjom. „Dzieci sieci" wyszły na ulice i broniły anihilacji zysku i sublimacji wymiany. Byli to ludzie dorośli, a także nastolatkowie.

„Dzieci sieci" są paradygmatycznym przypadkiem osób żądających retrybalizacji. Sieć umożliwia natychmiastowe kontakty na odległość, empatię, współtworzenie wydarzeń, ich ocenę, na bieżąco, w fantomie. Odkładanie się w fantomie, pod postacią informacji o sobie, reprezentacji dźwiękowej, wizualnej itp. uznaję za reklamę, która uprawiana jest w celach zysku poza siecią. Dzieci sieci mówią o wymianie w taki sposób, jakby to była wymiana archaiczna.

Mówię o archaiczności jako o takiej formie życia, gdzie pojawia się plemię, wioska, klany; otoczenie znane i uwiązane wymianą towar-towar, bez pieniędzy. W znanej analizie Bronisława Malinowskiego *Argonauci Zachodniego Pacyfiku* mamy wymianę muszli zdobiących nadgarstki, ramiona i szyje. Są tu pokłony, miny (chodzi o rytualne wyrażanie zadowolenia i niezadowolenia u Trobriandczyków z jednej strony, a emotikony z drugiej). Bardzo ważna w tych ekspresjach jest ocena. Przewożony łodziami ładunek służy podtrzymaniu wymiany, a nie generowaniu zysku, bardzo wyraźnie też nie ma charakteru utylitarnego.

W swoich rozważaniach widzę sens poszukiwania równowagi między elementami wartości, czyli prostszymi jej wersjami. Uznaję sens czterowartości i nie widzę poza nią swojej działalności artystycznej i naukowej. Niemniej pozostaję pełen szacunku dla burzliwej obrony sieci jako czegoś wyraźnie pozbawionego zyskowności, ale bardzo treściwego, odkrywczego i zdolnego łączyć się ze sobą. Widzę komputerowy rdzeń, nieusuwalny zupełnie w sieci, jaką znamy, pod postacią modularności programów komputerowych, którymi posługujemy się w wymianie poprzez sieć i w miejscach poza nią.

Uznaję za nadrzędny cel egzystencji wędrówkę w głąb siebie, po to, by poznać labirynt, który niepostrzeżenie wychodzi na zewnątrz i wraz z siecią tworzy jakiś ur-labirynt. W tym labiryncie jest mój umysł, a także miasto, gdzie przebywam, i w końcu — łącze internetowe. Ta całość jest elektroniczną siecią, którą można nazwać Brahman, wszechbytem sieci. W nim rozpływa się Atman, jednostkowa jaźń, monada elektroniczna. Wszystko to łączy się ze sobą, ale nie wyklucza zysku, który widzę w rozpowszechnianiu dobrej jakości informacji po sensownych cenach.

Rozwój smartfonów, telefonii nowej generacji, rywalizującej z Apple i Microsoft, opiera się na sprzedaży tanich programów. Dzieci sieci widzą tych dwóch gigantów, a pomiędzy nimi dystrybucje Linuksa. Nie widzą natomiast salonów gier i konsol kompu-

terowych. Jeśli widzą demokrację, to nie widzą jej bez globalizacji i międzynarodowych trendów.

TAMARA BOŁDAK-JANOWSKA

Modyfikacja: my i my

Piotr Czerski w eseju pt. *My, dzieci sieci* podzielił ludzi na „dzieci sieci" i „analogowych rodziców", których odsyła do lamusa. Z moich obserwacji wynika, że z komputera z dostępem do internetu korzystają i dzieci, i rodzice, i dziadkowie. Nie ma to związku z wiekiem ani z tak zwaną zmianą pokoleniową (nawet osiemdziesięciolatkowie to „dzieci sieci"). Ma to związek z czymś innym: nie wszędzie w Polsce możemy mieć dostęp do internetu. Dziesięć tysięcy miejscowości w Polsce nie ma dostępu do internetu. Nie ma dostępu na przykład w Narejkach, gdzie od kilku lat organizuję spotkania literacko-teatralne, określane od ubiegłego roku jako Zajazdy. Nie działają tu też komórki. Żadna. Narejki i okolice likwidują podział Piotra na „my" i na „wy". Podobnie likwiduje ten podział nagła dłuższa awaria linii energetycznej, tu czy w okolicy. Zaczynamy rozmawiać ze sobą bez maszynki przy uchu i klawiatury, zrośniętej z palcami. I są to rozmowy istotne. Na moich improwizowanych Zajazdach zwracamy się do siebie po imieniu bez względu na wiek, ale zwyczaj ten wynieśliśmy z internetu (portali społecznościowych) i jest on wyrazem szacunku dla rozmówcy — nowość, która nas zaprzyjaźnia, ale surowo, nie na zasadzie poufałości, lecz ufności w intelekt i talent rozmówcy.

Rzecz jednak najważniejsza: jacy „analogowi rodzice" z lamusa? Przecież to rodzice stworzyli komputer z internetem, ba, nawet dziadkowie. Dzieci ten świat zastały i mogą go kreować, udoskonalać, ale pracują jednak na i w maszynie rodziców i dziadków.

Mówię tak, ponieważ korzystając z internetu porzucam Polskę. Porzucam, bo wejście w internet jest wejściem w świat, a w świecie internautów tworzą rodzice i dzieci, i dziadkowie. Najgorszą wersją internetu byłaby krajowa i lokalna. Oby ta bałkanizacja Ziemian nie dochodziła do skutku. Internet jako szereg lokalnych gett wzbudza we mnie przerażenie. To ocenzurowane klatki.

Pierwsze miejsce w dostępie do internetu ma w Europie Rosja[1] (a ósme na świecie). Polska wlecze się w ogonie — ósme czy dziesiąte (nie dowiesz się tego dokładnie nawet w internecie) miejsce od końca w Europie. Polska ma najgorszej jakości łącza[2] i to hamuje dostęp do internetu. Zatem „dzieci sieci" w Polsce to wszyscy ci, którzy korzystają z komputera z internetem. Potencjalnym „dzieciom sieci" polskie złej jakości łącza po prostu uniemożliwiają życie z internetem, i obarczanie ich winą za „analogowość" jest nadużyciem merytorycznym. Podziału na pokolenia nie można wiązać w Polsce z dostępem do internetu, ponieważ wiąże się ono z czymś zupełnie innym. Na tym się chwilowo zatrzymam, a przypomnę, że to na przełomie lat 70. i 80. wojsko oddało internet cywilom, a najpierw naukowcom. To cywile stworzyli internet, i to jaki. Musimy o tym pamiętać.

Pokoleniowość. Poznęcam się nad tym.

Nie ma nic gorszego, niż zrywanie ciągłości kulturowej, o czym mówił niemiecki filozof Gellner. W Polsce kilkakrotnie zrywano ciągłość kulturową, a to skutkuje przekonaniem doroślejących dzieci, że cywilizację, kulturę zaczynają od zera, odsyłając do lamusa przestarzałych rodziców jako masę, nie dostrzegając wśród nich ani jednej osobowości, ani jednego czynnego talentu. W Polsce po upadku PRL przekreślono miniony okres, jakby go nie było i powrócono w myśleniu do przedwojnia, i był to ogromny krok wstecz, wrzucający internetowych wnuków i prawnuków prosto w ramiona przedwojennych dziadków, w ich mentalność. Przywrócę co nieco z czasów dziadków i rodziców z PRL.

Informatyki zaczęto nauczać w liceach i na uczelniach jeszcze w PRL, w końcówce lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych. Komputery były wielkie jak cysterny,

[1] Według danych z Wikipedii, Rosja zajmuje 2. miejsce w Europie (po Niemczech) i 7. na świecie: `https://en.wikipedia.org/wiki/List_of_countries_by_number_of_Internet_users`; dostęp 14.12.2012. Red. WL.

[2] Dane wg `https://pl.wikipedia.org/wiki/Internet_w_Polsce`, za: `http://wyborcza.biz/biznes/1,101562,8532658,Trudno_o_dostep__niskie_predkosci__Internet_w_Polsce.html`, dostęp do obu stron 19.12.2012.

i nasze, i te światowe. Udoskonalali je dziadkowie i rodzice, i u nas, w PRL, i w świecie. W świecie śmielej, rzecz jasna, ponieważ tam je lepiej finansowano. W Polsce pierwszy komputer zbudowali dziadkowie w roku 1958. Do internetu podłączono Polskę w roku 1991. Wkrótce dziadkowie i rodzice wskoczyli w internet i już z niego nie wyszli. Dzisiejsi dziadkowie mieli wtedy po czterdzieści lat, a rodzice po dwadzieścia. Komputer szybko stawał się dla nich narzędziem pracy i komunikacji. Pod określenie Czerskiego „My, dzieci sieci" podciągam wszystkich wchodzących w świat poprzez internet od roku 1991. Zgadzam się na wszystko, co mówi, ale nie na ten podział — my, „dzieci sieci" i wy, „rodzice analogowi", ci gorsi. Równie gładko wymówię „my i my", i podobnie manifestacyjnie uzasadnię prawomocność tego połączenia. Witaj, Piotrze, w tym samym świecie dzieci i rodziców sieci, ale w kraju z najgorszymi łączami. Jeśli już ktoś u nas jest wsteczny, to rządzący, którzy nie dbają o nowoczesne łącza.

Ja wiem, że autor podziału na „dzieci sieci" i wapniaczy lamus tłumaczył się w wywiadzie, że tylko taki podział może wywołać dyskusję „na tak" i „na nie". Ależ kiedy dzielimy się na nas i na was, to feudalizujemy stan rzeczy. My gramotni, nowocześni, wy analfabeci, przedpotopowi. Podział taki nie ma żadnego związku z życiem. Nie gwarantuje też rzetelnej dyskusji, wszak dyskusja to nie jest proste „za" i „przeciw". Dyskusja nie stanowi opowiedzenia się, lecz dogłębnie rozważa problem, jak najkorzystniej rozwiązując go dla bardzo wielu, a nigdy dla strony uważającej się za potężniejszą, zwykle wpływowej i z przekonaniem o jedynie słusznej racji. Moje „my i my" rzecz ustawia pokojowo, nikogo nie dzieli i nikogo nie wywyższa ze względu na wiek.

Autor tłumaczy się, że w Polsce obowiązuje wiara w pokoleniowość, że i on musiał ująć rzecz pokoleniowo, bo to Polska. Nie musiał. Wiara w pokoleniowość to komunistyczna wiara. My, dzieci, „przyjdziem i starych zmieciem"? Aż Lenin się kłania i rewolucja bolszewicka.

Tak to jest, kiedy się zrywa kulturową ciągłość i depcze rodziców, bo oni z innej bajki, a zarazem powraca do bolszewickich nastrojów dziadków i to jeszcze nie naszych. To nie internet, to paskudny real. Zużył się, a trwa. Lepiej pamiętać o babkach i prababkach informatyki.

W rzeczywistości pokolenie ma znaczenie socjologiczne. Pokolenie stwarza się co trzydzieści lat. Jeśli zaś przeniesiemy to pojęcie na kulturę, literaturę czy na internet, to nabiera ono wtedy charakteru nomenklaturowego, a Polska ogranicza pokolenie do młodości — w Polsce pokolenia tworzy się na siłę i w pośpiechu wyłącznie z tych, co właśnie osiągają wiek młodzieńczy. My, młodzi, to paniska, a wy, starzy, to tylko poddani, niemal analfabeci. A przecież dane pokolenie to osoby od noworodków po starców. Kolosalnym nieporozumieniem w Polsce jest to ciągłe utożsamianie pokolenia z „nami, młodymi", zwłaszcza w kulturze, literaturze; ta bańka pęka szybko. Młodość to jedynie etap wiekowy w danym pokoleniu. Życie to proces, i twórczość to proces, i nauka to proces, i wynalazki to proces, i mentalność to proces. Stereotyp pokoleniowości tworzy jeszcze jedno kółko, znieruchomiałe w nadanej raz na zawsze cesze, w jedynej mentalności danej godziny, roku, pięciu lat. A potem co? Potem *spadajcie* powiedzą „nowi", *boście już starzy*. Że się zmieniliście? Że piszecie arcydzieła? Ależ my już tworzymy „nowe pokolenie", samych młodych i już znieruchomiałych w danej cesze, i tak dalej, i tak w kółko. Ograniczenie pokolenia do „młodych" stwarza sytuację jak po wojnie — jutro ci młodzi będą starzy, czyli wybici. Dość już tego martyrologicznego „pola chwały", pochodzącego z zamierzchłego realu. W istocie ten polski mechanizm nie pozwala młodym rozwinąć skrzydeł, dojrzewać, stawać się wynalazcami i twórcami w pełnej skali. Pokolenie jest marnowane na wstępie przez własne ograniczające postulaty.

I co więcej: jeśli ciągniemy na siłę lokalną polską wiarę w siłę pokoleniowości, w siłę nowego pokolenia, tworzonego już prawie co roku, i to na podstawie jednej cechy, z reguły marginalnej lub lansowanej dla draki, „aby się tylko coś działo", to nie mówimy nic nowego, to jesteśmy konformistami, to powtarzamy coś, co nam dawno temu wymyślili dziadkowie, a dziadkowie nie zawsze mieli rację, czyli wychodzi na to, że niektóre „dzieci sieci" to dziadkowie. Dziecko sieci, autor eseju, Piotr, to dziadek? Nie. Przez ten nieszczęsny polski podział — nieco tak. Pamiętajmy o babkach i prababkach informatyki. Będzie milej, po ludzku i światowo.

Najwyższa pora rzetelnie przeciąć więź z głupio gadającym dziadkiem i posłuchać dziadka mądrego. Mądrym naszym dziadkiem był na przykład analogowy Brzozowski.

Coś nowego nie zdarza się samoistnie w młodym nowym pokoleniu, lecz w relacjach z dojrzałymi, ze starcami. Rozmowa we własnym kółku, gdy nastąpiło zerwanie kulturowej ciągłości, nie była i nie będzie kulturotwórcza. Kultura to proces, a każde zerwanie ciągłości skutkuje tak zwanym wyważaniem otwartych drzwi przez „młodych gniewnych", i cała ta gniewność staje się szybko pękającą bańką, i tylko rozśmiesza żyjących dłużej. Zresztą młodzi dawno przestali być gniewnymi i wolą płynąć z prądem i na powierzchni. Nie są rewolucyjni. Tak jest w realu w linii generalnej.

Podział na pokolenia w kulturze poprzez wyniesienie jednej jakiejś cechy sprawia, że całe pokolenie wcale się z tą jedną cechą nie identyfikuje, ale ma zamknięte usta — w realu, bo w internecie już nie.

Treści do tej naszej nowoczesnej maszyny wkładają ludzie w różnym wieku, nie tylko młodzi. Nie możemy pchać w nią przejrzałego stereotypu pokoleniowości! Tak, ale przecież wokół nowoczesnej maszyny słychać szczęk starej broni, szabelek. I to samo dźwięczy w sieci. Tyle tam starych demonów, kulturowych przeżytków, pełno przedpotopowego antyfeminizmu, antysemityzmu, narodowych fobii, megalomanii narodowej — i u młodych, i u starych.

Dzisiaj internet to podstawa wszelkich koniecznych kontaktów, a komputer to główne narzędzie pracy. Tej podstawy pozbawieni są bezdomni, których w Polsce nikt nie liczy, nawet w internecie, no i ci, których Polska wciąż pozbawia łączy.

W sytuacji braku dobrych łączy podział na „dzieci sieci" i „rodziców" bez komputera uważam za bezpodstawnie wynoszący pierwszą ze stron tego podziału.

Obecnie internet skutecznie likwiduje podział pokoleniowy i to jest całkowicie nowe zjawisko, związane z wynalazkiem nowej maszyny. Jednak w korzystaniu z internetu przez osoby młode i dojrzałe, dodam — i stare, jest różnica zasadnicza. Młodzi zbyt często uzależniają się od internetu, od gier, od anonimowości, od paplania godzinami z kimś tam, tak samo paplającym, od ślęczenia przy monitorze w poszukiwaniu prawdziwych informacji, podczas gdy dla starszych to tylko strata czasu — oni poszukują treści istotnych, kontaktu z wolną sferą kultury, i znajdują to, ponieważ jest jeszcze w nich żywy mechanizm błyskawicy — zmysł oddzielania ziarna od plew, i żywy zmysł sceptycyzmu, a podobne osoby dostarczają im przez internet poszukiwanych treści. Nie pragną sensacji, ponieważ są dojrzali, i nie zachowują się jak nuworysze. Są zaskoczeni, że wolność w internecie ogranicza się na ogół do wymiany światopoglądów politycznych, ale to na powierzchni. Prawica i lewica uprawiają boks bez zasad. Awantury, pomówienia, obecne w życiu, wędrują swobodnie do nowoczesnej maszyny. Umożliwia to anonimowość, ale także imienna zachłanność niezliczonych autokreacji. Dojrzała osoba jest tym zniesmaczona. Myślący młodzi też zresztą czują ten sam niesmak. Mogę inaczej ująć rzecz: jedni internauci poszukują treści istotnych i sami je tworzą, inni traktują nową maszynę jako rozrywkę, nie wnosząc do niej nic, i nie zależy to od wieku. Są dojrzewający (myślący) młodzi i dziecinniejący (bezmyślni) starzy. Jest powierzchnia w internecie (pozór wolności), i są też istotne głębie (wolnomyślicielstwo, sztuka).

Ludziom dojrzałym, z nieutraconym jeszcze zmysłem percepcji dzieła klasy światowej, a także myślącym młodym, nabywającym cechę sceptycyzmu (tę cechę nabywa się w procesie dojrzewania intelektualnego), internet wydaje się największym skarbem naszej epoki.

Poszukują tekstów Sloderdijka i znajdują je. Poszukują tekstów Chomsky'ego i znajdują je. Ignorują całkowicie muzykę łomotu. Moja młodsza córka określiła te łomotliwą popkulturową sieczkę następującymi słowami: inna taka sama. Rzeczywiście. Muzyka „inna taka sama". W ten sam sposób możemy określić sensacyjne wiadomości: inne takie same. Szczególnie główne portale internetowe lubują się w podawaniu wiadomości „innych takich samych" i polecaniu książeczek „innych takich samych". Powielają nasze telewizje, zdegradowane do bełkotu, łomotu i rechotu.

Kulturotwórcze okazały się moje Zajazdy do Naraju, o czym wspomniałam na początku. Iluż tu przybyło młodych ludzi, złaknionych rozmowy istotnej, kontaktu z dojrzałymi, z talentami, z rówieśnikami spoza pokoleniowej szufladki przedpotopowych dziadków.

Tu jest zabawa, tu jest rozmowa (międzypokoleniowa), tu jest dobry tekst, tu jest radość życia. Spotkanie umożliwił nam internetowy portal społecznościowy: fb[3]. Wielka rzecz.

Utrata przeżywania odświętności obcowania człowieka z człowiekiem, a także obcowania z dziełem wielkiej rangi, jest krokiem wstecz. Pogrąża nas w szarości, zanikają nam uczucia, a kontakt z dziełem nabiera jedynego znaczenia: brzęczenia przy uchu. Coś tam sobie brzęczy. Jakaś muzyczka, jakiś wierszyk. Po co się wsłuchiwać? Nadprodukcja muzyczki i wierszyków, natłok informacji, nieumiejętność wsłuchania się, zatrzymania kadru. Mamy taką degenerację.

Młodzi, którzy przybyli do mego Naraju za sprawą fb, nie identyfikują się ani z pokoleniem JPII, ani z pokoleniem dresiarzy, ani z pokoleniem porno, ani z „dziećmi sieci" w sensie nomenklaturowym (my i wy). Wymieniam jedną po drugiej cechy jakoby pokoleniowe, szybko nadawane przez nasze media po upadku komuny. Pokolenie powołano, i już. Że nie całe? Że tylko margines? A kogo to obchodzi. My się tym szufladkowaniem bawimy. My. Kto? Kilku wodzów w starym stylu i w różnym wieku.

Jeśli kontakt z dziełem rangi światowej, możliwy tylko przez internet, miałby być płatny, to dostęp do internetu musiałby być darmowy (i nie tylko w stolicy czy kilku gminach), inaczej pozbawilibyśmy najcenniejszego odbiorcę prawa do obcowania z osobowościami i dziełem wielkim. Odbiorca ten należy do pauperyzowanej warstwy inteligenta, intelektualisty, osobowości właśnie. Bez takich ludzi, bez tych twórców i tych odbiorców, świat nie będzie istniał. Będzie koszmarem automatycznych ludzików, bezrefleksyjnych, uległych, stadnych, zmanipulowanych, wiecznie niedojrzałych, awanturujących się, i pędzących po prawdziwych trupach do pieniędzy i sławy. Młodzi, czy dojrzali, czy starzy, znajdujący się w intelektualnym oporze wobec medialnego ogłupiania, wolni, złaknieni wolności, zatem będziemy poszukiwać Naraju. Podobny Naraj stworzył Kusturica na Bałkanach. Można poczytać o tym w internecie. I o moim Naraju również. Z pomocą internetu stworzyliśmy katakumby raju w realu. Gdyby internet nie umożliwiał cywilnych twórczych spotkań w realu, to byłby jedynie zamkniętym martwym pudłem, nadal należącym do armii. Pudłem niebezpiecznym wszakże, bo pozbawionym kontroli przez kulturotwórczych cywilów.

Mamy epokę internetu, ale mamy też obok i wokół różnych wodzów w dawnym stylu, których drażni internetowa wolność, obecność w nim osobowości, dzieł rangi światowej, a także istotnej rozmowy, a taka zdarza się, choćby na portalu Racjonalista czy u filozofów. Między bajki należy włożyć troskę o prawa autorskie, głoszoną przez tych wodzów w starym stylu, otaczających nowoczesną maszynę z internetem! Nie będę tu streszczać ACTA, każdy to czytał i każdy wie, że toto powstało tajnie. Mętny to dokument, jakoby dbający o ochronę własności intelektualnej i zapobiegający piractwu utworów, ale to nieprawda. Chodzi o to, że ci wodzowie w starym stylu nie zniosą aż takiej dawki wolności, jaką umożliwia internet. Wodzowie w starym stylu obecnie należą do różnych pokoleń. Bardzo wielu to młode byki ze starymi nawykami dziadków: zakneblować, spętać, ujarzmić, usadzić, ocenzurować. Nie da się ujarzmić internetu za pomocą cenzury, choćby ci wodzowie nieustannie tego próbowali, mnożąc w mętnych ustawach swoją troskę o ochronę własności intelektualnej. Internet to wolność, która polega na tym, że każdego można skrytykować: i ministra, i radnego, i prezydenta, a rządzący to wciąż wodzowie w starym stylu, pragnący nietykalności. Wolność obecnie przeniosła się do internetu, wraz z prawem do mówienia mądrze i głupio, ale przede wszystkim do krytycznego mówienia o tych, o których chcemy tak mówić i mamy ważkie powody. W ACTA ani słowa nie ma o pisarzach. Mętnie tam się mówi o utracie zysków przez zespoły muzyczne, rzekomo przez wydania pirackie ich utworów. Gołym okiem widzę, że chodzi o zyski wytwórni, a nie autorów. Sami autorzy, artyści, cieszą się z popularności swoich dzieł, jakkolwiek to się dzieje. Mechanizm tu jest następujący: im bardziej jakiś utwór spodobał mi się w internecie, tym bardziej pragnę mieć go na stałe w trwalszej czy też poręczniejszej postaci, jako książkę papierową, jako e-book, jako krążek z muzyką. Ta poręczniejsza postać dzieła może być przy mnie wieczorem, kiedy idę spać. Mogę wtedy jeszcze coś dobrego przeczytać, a przy uchu mieć ulubioną muzykę. Wodzowie w starym stylu, manipulujący poprzez ACTA, nie biorą pod uwagę mechanizmów rzeczywistych,

[3] www.facebook.com

a zresztą odbiorca ich nie obchodzi. Marzenie o zamianie wolnego internetu w zamkniętą dla „postronnych" folwarczność osiada i będzie osiadało w grównie mnożących się królów Ubu. W kraju z najgorszymi łączami w Europie nasz Ubu już marzy o tym, aby internetowi nie dzielili się z nieinternetowymi tym, co znaleźli w internecie! Nazywa to piractwem, złodziejstwem, nielegalnością.

Trudno dziś sobie wyobrazić siedzącego na ulicy przy łóżku handlarza, oferującego pirackie kopie muzyki z internetu! To nie te czasy! Każdy, kto słucha zespołów, wgranych w internet, sam ma internet i nie potrzebuje nagrań pirackich. Dzielenie się zaś internetowych z nieinternetowymi w kraju z najgorszymi łączami w Europie jest: dzieleniem się: jest dzieleniem się. Myślenie z okresu handlu łóżkowego śmieszy internautów, tylko zarazem są oni przerażeni tym, że jakiś królik Ubu będzie im odcinał internet, bo czegoś „nielegalnego" wysłuchali czy coś „nielegalnego" obejrzeli i przeczytali, i tym się z nieinternetowymi podzielili. Internetowy kontakt z kulturą jest: kontaktem z kulturą: jest kontaktem z kulturą.

Brzydzić człowieka kultury może jedynie legalne szcz...nie i sr...nie na ulicy (przepraszam za wulgaryzmy) oraz szmira, promowana w realu przez wydawców. Każdy budujący kontakt z kulturą jest legalny.

Kontakt z internetem jest kontaktem z czymś, co nazwałam w jednym ze szkiców trzecim ciałem.

No więc w tym trzecim ciele są ścieżki mądre, istotne, i ścieżki głupie, obleśne, śmietnikowe. Najważniejsza sprawa to to, że są tam osobowości i ich istotne treści. Reszta jest, bo jest. I niech sobie będzie, bo sfera wolności ma to do siebie, że zawiera treści, wypowiedzi, mniemania bardzo różne. Internet zatem to nie wyrocznia. Nazwałam go trzecim ciałem, ale nie jest on osobą, nie jest autorytetem, nie jest prawdziwym życiem. Zbyt łatwo można natrafić na zmanipulowane obrazy, na pośpiesznie klecone sensacyjne niusy, poprawiane następnie przez kilka miesięcy albo i lat na jeszcze bardziej sensacyjne. Obok tego śmietnika istnieją jednak wielkie treści, wielkie animacje, wielkie utwory muzyczne i ich wielkie wykonania.

Osobliwy internetowy narząd to miliony blogów. Każdy chce zaistnieć. Każdy coś tam pisze. Jednym z naprawdę istotnych blogów w Polsce to Minimalbooks Piotra Siweckiego. Nas Minimalbooksie spotykają się ludzie pióra z Polski i USA. Ten blog pełni rolę portalu literackiego, pisma, dużej, rosnącej książki. Piotr Siwecki, znakomity prozaik, stworzył coś niesłychanego: nie tylko internetowe pismo, ale i rozwijające się wydawnictwo. Tak mogło się stać, ponieważ prowadzenie bloga jest darmowe. Jak dobrze. Oby ten stan trwał jak najdłużej. Co ja mówię. To musi trwać jak dotąd. Minimalbooks jest wysmakowany, pełen stylu, eksperymentu i znakomitych form. Dobrze. Dzieło literackie to styl, forma, eksperyment. Inaczej nie będzie nigdy.

Piotr Siwecki tworzy dostęp do nietuzinkowej kultury. Ten blog-pismo-wydawnictwo to polski skarb.

Elfriede Jelinek po tym, jak otrzymała nagrodę Nobla, nową książkę opublikowała na swoim blogu, zawiedziona wydawcami, a wydawcy, nie tylko w Polsce, zawodzą na całej linii: zmuszają autorów do produkcji rynkowych produkcyjniaków, nie odkrywają arcydzieł, nie promują talentów. Sprzyjają średniakom i tak zwanej lepszej grafomanii, a także zrzynkom ze starych mistrzów.

Tylko internet bardzo często pomaga dzisiaj arcydziełu dotrzeć do czytelnika, choćby poprzez minimalbooks czy blog Elfriede Jelinek — i poprzez dzielenie się zachwycającą treścią z nieinternetowymi w takim kraju, jak Polska.

To samo zrobił Coelho: umieścił swoje teksty na The Pirate Bay; przypomnę jego motto: „Ściągajcie za darmo, a jeśli Wam się spodoba, kupcie w księgarni". Coelho zna mechanizm: kupujemy.

Oczywiście miejsca w internecie, gdzie autor sam się publikuje, to także raj dla grafomanów. Tak to się spotkali wybitny autor z grafomanem w nowej pięknej utopii, internecie. Niezależni wybitni autorzy muszą zostać wyłuskani spośród stadionów grafomanów. Ja to robię, zbierając cięgi w sieci i w realu od wodzów w starym stylu, których pełno i wśród krytyków, i w kampusach.

Skorzystałam z wzoru Jelinek i umieściłam całe swoje niektóre książki o wyczerpanym nakładzie na swoim blogu. Dostęp do moich książek jest utrudniony, szybko wyczerpują się ich nakłady, na ich temat powstają prace doktorskie i magisterskie, więc mój krok był koniecznością i w Polsce na szczęście ludzie kampusowi to ludzie internetowi, to „dzieci sieci", bez względu na wiek.

W Słowacji (kraj ze złymi łączami) powstał system Piano, który wprowadza się też u nas. Chodzi o płatny dostęp do treści „wartościowych", jak to określają pomysłodawcy — duzi wydawcy, koncerny.

Myślący dobrze wiedzą, że za opłatą nie znajdą treści bardziej wartościowych, ponieważ te treści nadal będą wytwarzać ci, którzy sprowadzili na dno papierowe gazety. I wcale nie chodzi im o dostarczanie treści wartościowych, tylko o zarobienie kupy forsy na naiwnych, którzy zresztą dadzą się oszukać tylko raz. W Piano też się nie mówi o pisarzach. Mówi się wyłącznie o zyskach wydawców. Nie będą mieli takich zysków, o jakich marzą.

Wodzowie w starym stylu będą usiłowali wciąż na nowo grzebać w internecie. My, cywile z internetu, przez nas tworzonego, będziemy to odczuwali jako najazd starego: armii.

Armia to koncerny, pragnące zysku, zysku. Uwłaszczyć się na „niczyim internecie" — oto pragnienie wodzów starego stylu, i w byłych demoludach, i wszędzie. Zdaje się, że najbardziej przytomne i sprzyjające internautom będzie tu jednak USA, ponieważ tam sprzeciw traktuje się poważnie i sam sprzeciw to moc. Okazało się, że polski sprzeciw wobec ACTA również miał moc.

Żadne Piano, żadne ACTA i ich mutacje nie przejdą u internautów. Nie są przyszłościowe, ponieważ wiążą ręce tym, którzy tworzą internet: cywilom z pasją kulturotwórczą. Cywilom, którzy dzielą się z innymi swymi odkryciami w dziedzinie kultury, czy to plastyki, czy literatury, czy teatru.

W podobnym tonie mówi o tym Eryk Mistewicz na Wykopie w szkicu pt. *Piano, piano nad tą trumną*. Dzieło istnieje po to, aby dzielić się wrażeniem. Informacja istnieje po to, aby się nią podzielić, omówić. Don Graham, wydawca „The Washington Post", określił systemy w stylu Piano jako całkowicie wsteczne, jako relikt minionych epok, z ciągotami do kneblowania, podsłuchów, śledzenia, ukrócenia obiegu informacji. W USA wydawcy rezygnują z płatnych treści, którymi nikt nie może się podzielić. Najwięcej pożytku dla ludzi jako istot społecznych przynoszą portale społecznościowe. Tu istnieje rozmowa istotna i istotne kontakty oraz dzielenie się odkryciami z dziedziny kultury. Dzieło musi mieć licznych odbiorców, po to jest, po to powstało. O dziele trzeba mówić, trzeba polecać znajomym, trzeba uzasadnić, dlaczego. Mistewicz zauważa, że Piano ukrywa liczbę osób korzystających z płatnego dostępu do „wartościowych" treści, a skoro tak, to nie jest ich tak dużo, jak sobie czy internautom Piano wmawia. W USA też nie było zysków z płatnego dostępu do „wartościowych" treści, ponieważ doszło jedynie do przeniesienia z realu w internet tradycyjnie ogłupiających treści, to jest skomercjalizowanych. Komercjalizacja treści oznacza manipulację. Zmusza się autorów do utraty niezależności.

Czy każdą informację znajdziemy w internecie? Nie. Nie od razu, chyba że ją ktoś szybko wstawi, zdobywszy gdzie indziej (jak zawsze).

Jak powiedziałam: internet to teksty, informacje, pochodzące od ludzi, a nie od rozumnej maszyny. Ludzie jak to ludzie. Jedni rzetelnie informują, inni manipulują, ubarwiają, konfabulują, czerpiąc wzory z telewizji.

Podstawa jednak jest następująca: internet tworzymy my, ludzie wolni, cywile.

Napotka nasz opór, kto zechce raz kolejny pójść na wojnę z nami.

W znakomitym eseju *Pogarda mas* Peter Sloderdijk porusza temat bardzo nośny. Media promują cynizm, lansują głupawe hasła w rodzaju: „teraz nie ma talentów, a warsztatu każdy może się nauczyć". Każdy? Każdy może śpiewać mezzosopranem w wielkiej operze? Wszystkie te hasła kierowane są rzekomo w stronę mas w trosce o ich dobro — każdy może śpiewać, każdy może pisać, próbujcie, tłoczcie się na castingach, może się uda. W rzeczywistości owe „masy" pogardzają pisarzami bez talentu i śpiewakami bez słuchu, a media pogardzają „tłumem", „masą". Nie ma żadnych „mas", nie ma „tłumu".

Są ludzie, których stać na odwagę mówienia, i są milczący analfabeci kulturowi i tchórze.

W internecie nie istnieją „masy", nie istnieje „tłum". Istnieją tu: wypowiedzi. Wielka rzecz. Wypowiedzi rzecz jasna bywają przemyślane i jak najszybsze — byle się wykrzyczeć, ale nie zmienia to postaci rzeczy: tu nie ryczy tłum, tu nie ma masy. Nikt nie określa internautów słowami: masa, tłum.

Poetami internetu są programiści. To są najcudowniejsze „dzieci sieci". Fb powstał dzięki Zuckerbergowi, natychmiast zaatakowanemu przez zawistnych. Tu akurat starzy zawistni chcieli pożreć cudowne „dziecko sieci". Pokoleniowość zawirusowała jak widać także niektórych dziadków (i rodziców) świata. Zuckerberg marzył o „stworzeniu świata otwartego i połączonego" i to mu się udało. Oczywiście został przechwycony przez świat biznesu i był szkalowany przez zawistnych, że jakoby od początku marzył o staniu się milionerem. Ależ nie. Mechanizm twórczy, czy to będzie pisanie, czy co innego, działa na całkowicie innej, bardzo prostej zasadzie: piszę, tworzę, a pieniądze przyjdą lub nie. Twórcze życie to odwaga podejmowania ryzyka.

Przyszłością internetu są następcy Zuckerberga i takie kobiety, jak Anita Borg, Shafi Goldwasser czy Joy Radia Perlman (nazywana „Matką internetu"). Nie do nich będzie się kierowała „pogarda mas". Będą uwielbiani, ale nie przez „masy", tylko przez osoby, które zechcą się podzielić z innymi istotną treścią, odkrytą w internecie i poza internetem.

Jeszcze mamy wolność: internet. Ta nasza piękna utopia dzieje się naprawdę. Łączy ludzi w różnym wieku. Umożliwia kontakt z kulturą, z filozofami i kulturotwórcze kontakty w realu. Przywołuje do porządku wodzów w różnym wieku, ale starego chowu. Pełni budującą rolę cywilizacyjną. Suchej nitki nie zostawia na kiepskich książkach i tandetnych filmach. Ta nasza piękna polska utopia ma najgorsze w Europie łącza.

Czy przypadek Jelinek — ja, noblistka, sama jestem wydawczynią mojej książki na moim blogu (z © oczywiście) — choć trochę ucywilizował wydawców, oczekujących produkcyjniaków rynkowych i zrzynek ze starych mistrzów?

Jeden taki przypadek jednak cywilizuje choć jednego wydawcę. O tym też można poczytać w internecie.

Natomiast w realu (na styku internet-real) bywa obrzydliwie. Internet służy złodziejom dzieła jako rezerwuar łupów, cudzych, często genialnych pomysłów. I wcale nie chodzi o „piractwo" muzyki. Chodzi o bezkarne plagiaty na przykład rysunków satyrycznych. W to nie jest zaangażowane ani ACTA, ani Piano, CETA czy „Czysty Internet".

Zdumiewa mnie moc frazesów w różnych cenzorskich projektach, typu ACTA, PIANO, CETA czy wreszcie „Legalna kultura" wołająca o korzystanie z „legalnych źródeł" kultury, bo w ten sposób „pomagamy kulturze". Nie. Nie pomagamy. Kulturze pomagamy poprzez wyławianie ogromnych niezależnych talentów. Źródłem kultury jest wyłącznie ogromny niezależny talent. Taki talent w „legalnych źródłach", typu wydawca, reklama, telewizja, gazeta — nie istnieje! Jest tu duszony, poniewierany, przemilczany. To o co chodzi z tym wołaniem? No właśnie. Chodzi o to, żeby w internecie było jak w telewizji? Głupio, nudno i z podłożonym rechotem?

Internet musi pozostać różnorodnością. Musi w nim być miejsce na dotyk arcydzieła, czy też wybitnego dzieła, i krytykę szmiry. Tego nie dają pozainternetowe media, nastawione wyłącznie na zysk, ani wydawcy, nastawieni na zysk, ani autorzy, produkujący „rynkowe produkcyjniaki", nastawieni na zysk. Zysk odbiorcy z dzieła to zysk przede wszystkim duchowy, intelektualny i jest to spotkanie wolnych z wolnymi. To wolni tworzą dla wolnych.

Prawdziwe pokolenie „dzieci sieci" dopiero nadejdzie za dwa-trzy pokolenia w rozumieniu właściwym, socjologicznym (powtórzę: nowe pokolenie powstaje co trzydzieści lat) i będzie to pokolenie o zmienionej psychice, któremu wystarczy internetowy wygląd słowika i listka, czy całej przyrody. Jednak ostaną się biegający wśród przyrody i fotografujący ją, wszak przyroda sama nie wbiegnie do internetu. To absolutnie nowe pokolenie „dzieci sieci" będzie miało zmienione dłonie — już dziś nasze palce, biegające po klawiaturze, przypominają palce pianistów: dłonie smukleją. Ekrany dotykowe jeszcze bardziej zmienią dłonie: zmuszone działać na małej powierzchni, inaczej ukształtują ścięgna i mięśnie. To pokolenie na pozór tylko będzie mniej zaangażowane w życiu w realu. Będzie

mniej biegać po urzędach, ale wpływ na real będzie miało ogromny: wzrośnie interwencyjność w sprawach obrony praw człowieka, wolności, jakości życia.

Internet stanie się naprawdę dodatkowym wymiarem. Uczeni już dziś skłonni są określać internet „buddystyczną nirwaną". Lekkie kliknięcie — i już jesteśmy we śnie. Śnimy świat jako globalną wioskę. Cały świat mamy w zasięgu naszego palca. Możemy być wszędzie.

Postępem jest to, że komputer z internetem stał się osobistym medium. (Przypadek charakterystyczny: Jelinek, Coelho, mój, minimalbooks Piotra Siweckiego, i wielu podobnych).

Postępem jest to, że internet likwiduje jedyną centralną słuszność. Każdy cenzor Ubu-podobny pozostanie śmiesznostką epoki. Postępem jest socjalizująca rola portali społecznościowych. Postępem są blogi, odważnie i niezależnie komentujące real.

Internet z chwilą przekazania go przez armie cywilom stał się nowym etapem w rozwoju człowieka: zamiast programów kierowania bomb z USA do ZSRR i odwrotnie, mamy cywilne programy kulturotwórcze.

Złą rzeczą jest przybieranie dowolnych masek w internecie, kradzieże pieniędzy z banków, porno-pedofilia, stalking, pospolite myślenie na blogach, niewykraczające poza tzw. powszechne mniemanie, z dodatkami, typu: stereotypy płciowe, szowinizm, rasizm, faszyzm; uzależnienie od internetu, od gier, wymagające leczenia psychiatrycznego. Jeszcze gorsza rzecz, ale okołointernetowa: wodzowie starego typu w różnych projektach ACTA czy CETA, rzekomo w walce z terroryzmem chcą obarczyć internautów odpowiedzialnością zbiorową za... No właśnie, za co?

Prawdziwe pokolenie „dzieci sieci" dopiero nadejdzie, kiedy wszędzie będą dobre łącza. Wtedy to te prawdziwe „dzieci sieci" poczują znudzenie nowym medium i wymyślą jeszcze nowsze. Ufam temu jeszcze nieistniejącemu pokoleniu, że okaże się ludzkie, informatyczne, ale i humanistyczne, twórcze, kulturotwórcze, wolne.

Uwagi końcowe: komputer z dostępem do internetu staje się nowym medium dopiero wtedy, kiedy przestaje być jedynie rozrywką, zabawką, i kiedy nie ułatwia nam jedynie zakupów czy płacenia rachunków.

Komputer z internetem staje się medium dopiero wtedy, kiedy staje się nośnikiem wartościowej kultury. Jest już takim nośnikiem. Jeszcze jest.

Przestanie być medium, jeśli — tak jak w realu (telewizja, gazety, wydawcy) — udusi niezależnych twórców, ingerując w tekst — wymagając komercji, zamiast treści.

Intelektualista nigdy nie potwierdza systemu, w którym jest.

Internauci wzbogacają myślą i sztuką system, który daje im miejsce: internet.

Prawa autorskie mają chronić autora przede wszystkim przed plagiatem. Nie powinno być naruszaniem praw autorskich rozpowszechnianie utworu, bez ingerencji w jego treść, jeśli utwór został już opublikowany lub jeśli sam autor tego sobie życzy w stosunku do utworu niepublikowanego. Każdy rodzaj rozpowszechniania utworu odbywa się z korzyścią dla utworu, a zatem i autora, jeśli treść utworu pozostaje nienaruszona i opatrzona nazwiskiem rzeczywistego autora. Zyski koncernów wydawniczych autora nie obchodzą, ale obchodzi autora honorarium. Koncerny wydawnicze obecnie nie dzielą się zyskiem. Wydawcy dopuszczają plagiat dla zysku — niemiecki przypadek Hagemann.

Zrzyna uchodzi za inspirację — sprzyja temu procederowi hasło złodzieja, rozpowszechniane w realu: „teraz nie ma oryginału". To jest tak bałamutne, tak ośmielające złodzieja, że prawa autorskie muszą wziąć to pod uwagę: samo hasło należy uznać za przestępstwo wzywania do naruszenia dóbr osobistych. Inspiracje możemy czerpać jedynie z dzieł rozpoznawalnych, jasno wskazując na autora oryginału. Prawa autorskie nie mogą uderzać w autorów, sprzyjać obdzieraniu ich z ich dzieła w myśl złodziejskiej zasady: „teraz nie ma oryginału". Zanika zasada cytatu i przytaczania nazwiska autora pierwowzoru. Ileż to razy tak mnie złupiono. Nie mamy dobrych prawników, broniących autorów w takiej sytuacji, i złodziej łatwo się wyłga, że się „tylko zainspirował". Ale ja mogę opisać to na moim blogu i to jest już dużo. Mamy autorskie prawa osobiste, nierozerwalnie wiążące autora z dziełem, ale cóż one znaczą w sytuacji dozwolonego w realu łupienia autora z jego dzieła pod hasłem: „teraz nie ma oryginału"?!

W kulturze obecnie poza internetem nastąpiło rozbicie feudalne: szczelne kółka, skupione wokół feudała, traktują inne kółka, skupione wokół innych feudałów, jako śmiertelnych wrogów i jedne drugim zamykają drzwi do mediów. Ratunek przynosi internet.

Katarzyna Szymielewicz w internetowym artykule podsumowuje jednym ważkim zdaniem feudałów z ACTA czy CETA, które walczą z niekomercyjnym wykorzystaniem utworów, chronionych prawem autorskim, niszcząc kulturę.

Niekomercyjne wykorzystanie utworu to zachwyt nad nim, to czytanie czyichś wierszy do drugiej w nocy, to dzielenie się z innymi tym wielkim utworem, który odkryliśmy, nie zaś utrzymywanie go w ścisłej tajemnicy. To także wola autora: udostępniam mój utwór. Każdy wielki utwór wędruje, wędrował i będzie wędrował od osoby do osoby, z języka do języka. To jest prawdziwe niekomercyjne życie utworu. Żaden feudał tego nie powstrzyma.

Internauci mówią prawdę, bo chcą. I kłamią, bo chcą. W internecie nie istnieje przymus kłamstwa, a w realu i innych mediach — tak. W internecie jest miejsce ma mówienie prawdy, a w realu i innych mediach — nie. Inne media i real to miejsca dla propagandy, manipulacji. Inne media funkcjonują na zasadzie: tu my, nadajnik, a tam wy, milcząca masa. Internet jako mnogość centrów z prawem do głosu unicestwia ten współczesny feudalizm czy też totalitaryzm i poddaje go krytyce.

Jeśli internet stanie się medium jak inne, narzucające scentralizowaną opinię i miks wiadomości (końcowy bełt z przypudrowanych i osłodzonych różności), internauci porzucą go, jeśli, rzecz jasna, próby zachowania jego *status quo* zawiodą.

PIOTR CZERSKI

My, dzieci sieci[1]

Nie ma chyba drugiego słowa tak wyświechtanego w medialnym dyskursie, jak „pokolenie". Próbowałem kiedyś policzyć pokolenia proklamowane w ciągu ostatnich dziesięciu lat, od czasu głośnego tekstu na temat tzw. „Generacji Nic" — było ich bodaj dwanaście. Łączyła je jedna cecha: istniały wyłącznie na papierze. Rzeczywistość nie dostarczyła nam w tym czasie żadnego realnego, znaczącego, nie dającego się zapomnieć impulsu, którego wspólne i nieuniknione przeżycie stałoby się czynnikiem odróżniającym nas trwale od poprzednich generacji. Wyglądaliśmy go, tymczasem decydująca zmiana przyszła niepostrzeżenie — wraz z oplatającymi kraj kablami telewizji kablowych, wyparciem telefonów stacjonarnych przez mobilne, a przede wszystkim: powszechnością dostępu do internetu. Dopiero dzisiaj, kiedy oglądamy się, aby spojrzeć na ostatnich piętnaście lat, możemy zrozumieć, jak wiele się zmieniło.

My, dzieci sieci — my, którzy dorastaliśmy z internetem i w internecie — jesteśmy pokoleniem, które przyjęte kryteria tego terminu spełnia niejako na odwrót. Nie doświadczyliśmy impulsu ze strony rzeczywistości, ale przekształcenia się samej rzeczywistości; nie łączy nas wspólny, ograniczony kontekst kulturowy — ale poczucie wolności jego wyboru i samodefinicji.

Pisząc te słowa mam świadomość nadużycia, jakiego dopuszczam się używając zaimka „my" — ponieważ nasze „my" jest płynne, nieostre, wedle starych kategorii: doraźne. Jeżeli piszę „my" — to znaczy: „wielu z nas", albo „niektórzy z nas". Jeżeli piszę: „jesteśmy" — to znaczy: „bywamy". Piszę: „my" tylko dlatego, żeby móc o nas w ogóle napisać.

1.

Dorastaliśmy z siecią — i w sieci. To nas odróżnia, to czyni nieoczywistą z waszej perspektywy, ale istotną różnicę: my nie „surfujemy", a sieć nie jest dla nas „miejcem" czy „wirtualną przestrzenią". Sieć nie jest dla nas czymś zewnętrznym wobec rzeczywistości, ale jej równoprawnym elementem: niewidoczną, ale stale obecną warstwą przenikającą się z przestrzenią fizyczną. My nie korzystamy z sieci, my w niej i z nią żyjemy. Gdybyśmy mieli opowiedzieć wam, analogowym, nasz *bildnungsroman* — w każdym kształtującym nas doświadczeniu istniał naturalny pierwiastek internetowy. W sieci nawiązywaliśmy przyjaźnie i kłóciliśmy się, w sieci przygotowywaliśmy ściągi na klasówki, w sieci umawialiśmy się na imprezy i wspólną naukę, w sieci zakochiwaliśmy się i rozstawaliśmy ze sobą. Sieć nie jest dla nas technologią, której musieliśmy się nauczyć i w której udało nam się odnaleźć. Sieć jest procesem, który dzieje się i nieustannie przekształca na naszych oczach; z nami i przez nas. Technologie pojawiają się, a potem znikają na peryferiach, serwisy powstają, rozkwitają i gasną, ale sieć trwa, bo sieć to my — komunikujący się ze sobą w naturalny dla nas sposób, bardziej intensywny i wydajny niż kiedykolwiek w historii ludzkości.

Wychowani w sieci myślimy trochę inaczej. Umiejętność znajdowania informacji jest dla nas czymś równie podstawowym, jak dla was umiejętność odnalezienia w obcym mieście dworca albo poczty. Kiedy chcemy się czegoś dowiedzieć — jakie są pierwsze objawy ospy, czy rachunek za wodę nie jest podejrzanie wysoki albo dlaczego zatonęła „Estonia" — podejmujemy działania z taką pewnością, z jaką prowadzi się samochód wyposażony w nawigację GPS. Wiemy, że potrzebne nam informacje znajdziemy w wielu miejscach, umiemy do nich dotrzeć, potrafimy ocenić ich wiarygodność. Przywykliśmy do tego, że zamiast jednej odpowiedzi znajdujemy wiele różnych — i umiemy z wyabstrahować z nich wersję, która jest prawdopodobnie najsłuszniejsza, odrzucając te, które sprawiają wrażenie mało wiarygodnych. Selekcjonujemy, filtrujemy, zapamiętujemy — i jesteśmy gotowi wymienić zapamiętaną informację, kiedy pojawi się jej nowa, lepsza wersja.

[1]Tytuł został zapożyczony z kultowego bloga mydziecisieci.

Sieć jest dla nas czymś w rodzaju współdzielonej pamięci zewnętrznej. Nie musimy zapamiętywać niepotrzebnych detali: dat, kwot, wzorów, paragrafów, nazw ulic, szczegółowych definicji. Wystarczy nam abstrakt, informacja ograniczona do swojej esencji, przydatnej w jej przetwarzaniu i łączeniu z innymi informacjami. Jeżeli będziemy potrzebowali szczegółów — sprawdzimy je w ciągu kilku sekund. Nie musimy także znać się na wszystkim, bo wiemy, gdzie odnaleźć ludzi, którzy znają się na tym, na czym my się nie znamy, i którym możemy zaufać. Ludzi, którzy podzielą się posiadanymi informacjami nie dla zysku, ale ze wspólnego dla nas wszystkich przekonania, że informacja żyje w ruchu, że chce być wolna, że na wymianie informacji wszyscy korzystamy. Każdego dnia: ucząc się, pracując, rozwiązując codzienne problemy, rozwijając pasje. Potrafimy i lubimy ze sobą konkurować, ale nasza konkurencja, pragnienie wyróżnienia się, ufundowane jest na wiedzy, umiejętności interpretowania i przetwarzania informacji — a nie na monopolu na nią.

2.

Uczestniczenie w kulturze nie jest dla nas czymś odświętnym — globalna kultura to podstawowy budulec naszej tożsamości, ważniejszy dla samodefinicji niż tradycje, narracje historyczne, status społeczny, pochodzenie, a nawet język, którym się posługujemy. Z oceanu dóbr kultury wyławiamy te, które odpowiadają nam najbardziej — wchodzimy z nimi w dialog, oceniamy je, zapisujemy te oceny w specjalnie do tego celu stworzonych serwisach, które podpowiadają nam, jakie inne albumy, filmy, czy gry powinny zyskać nasze uznanie. Niektóre filmy, seriale czy wideoklipy oglądamy jednocześnie z kolegami z pracy albo znajomymi z drugiej półkuli, uznanie dla innych dzielimy z garstką ludzi, których być może nigdy nie spotkamy w świecie rzeczywistym. Stąd wynika nasze poczucie jednoczesnej globalizacji i indywidualizacji kultury. Stąd wynika nasza potrzeba swobodnego dostępu do niej.

Nie oznacza to, że domagamy się, żeby wszystkie dobra kultury były dostępne za darmo — chociaż sami, tworząc coś, zwykle zwracamy to po prostu obiegowi. Rozumiemy, że — mimo rozpowszechnienia się technologii, sprawiających, że jakość filmów czy nagrań dźwiękowych zarezerwowana dotąd dla wyróżnionej kasty profesjonalistów stała się dostępna dla każdego — twórczość wymaga nakładów środków i pracy. Jesteśmy gotowi płacić, ale gigantyczny narzut nakładany przez dystrybutorów wydaje nam się czymś w oczywisty sposób nieprzystającym. Dlaczego mielibyśmy płacić za dystrybucję informacji, którą można błyskawicznie i perfekcyjnie skopiować, nie zmniejszając przy tym ani na jotę wartości oryginału? Jeżeli dostajemy samą tylko informację — chcemy, aby cena była do niej adekwatna. Możemy płacić więcej, ale chcemy otrzymać wówczas wartość dodatkową: ciekawe opakowanie, gadżet, wyższą jakość obrazu, możliwość rozpoczęcia oglądania tu i teraz, bez oczekiwania na pobranie pliku. Potrafimy wyrażać uznanie i chcemy wynagradzać autorów (kiedy pieniądze przestały być banknotami, a stały się szeregiem cyfr wyświetlanych na ekranie, płacenie nabrało nieco charakteru aktu wymiany symbolicznej, na którym obie strony coś zyskują), ale osiągnięcie przez korporacje wyników założonych w planach sprzedaży zupełnie nas nie interesuje. To nie nasza wina, że ich biznes w dotychczasowym kształcie przestał mieć sens — a oni, zamiast podjąć konkurencję i dotrzeć do nas z czymś więcej, niż możemy mieć za darmo, postanowili okopać się na dotychczasowych pozycjach.

I jeszcze jedno: nie chcemy płacić za swoje wspomnienia. Filmy, które pamiętamy z młodości, muzyka, która towarzyszyła nam dziesięć lat temu — w sieciowej pamięci zewnętrznej są po prostu wspomnieniami, których przywoływanie, wymiana i przetwarzanie jest dla nas czymś tak oczywistym, jak dla was wspominanie *Czterech pancernych*. Bajki, które oglądaliśmy w dzieciństwie, odnajdujemy w sieci i pokazujemy naszym dzieciom — tak samo, jak wy opowiadaliście nam bajkę o Czerwonym Kapturku albo trzech koźlątkach. Czy potraficie sobie wyobrazić, że ktoś oskarży was z tego powodu o łamanie prawa? My też nie potrafimy.

3.

Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że nasze rachunki płacą się same, jeśli tylko dysponujemy środkami na koncie; że założenie konta bankowego albo przeniesienie numeru telefonu do innego operatora to kwestia wypełnienia jednego formularza online i podpisu na umowie podsuniętej przez kuriera; że nawet podróż na drugi koniec Europy z międzylądowaniem i zwiedzaniem miasta w połowie drogi można zorganizować w dwie godziny. Jako użytkownicy państwa jesteśmy więc coraz bardziej zirytowani archaicznością jego interfejsu. Nie rozumiemy, dlaczego zeznanie podatkowe składa się z kilku formularzy, z których główny ma ponad sto pól. Nie rozumiemy, dlaczego — absurdalny sam w sobie — obowiązek zameldowania się w jednym miejscu wymaga uprzedniego wymeldowania się w innym, jak gdyby jeden urząd nie mógł porozumieć się w tej sprawie z drugim bez naszego udziału.

Nie ma w nas tej wynikającej z onieśmielenia pokornej akceptacji, jaka cechowała naszych rodziców — przekonanych o nadzwyczajnej wadze spraw urzędowych i odświętnym charakterze interakcji z państwem. Nie czujemy tego respektu, który brał się z odległości między samotnym obywatelem, a majestatycznymi szczytami „władzy", majaczącymi gdzieś pośród mgieł. Nasza wizja struktury społecznej jest zresztą inna niż wasza: sieciowa, a nie hierarchiczna. Przywykliśmy do tego, że niemal z każdym — dziennikarzem, burmistrzem miasta, profesorem uniwersytetu albo znanym piosenkarzem — możemy spróbować podjęcia dialogu i nie potrzebujemy do tego uprawnień wynikających ze społecznego statusu. Powodzenie interakcji zależy tylko od tego, czy treść przesyłanego komunikatu zostanie rozpoznana jako ważna i warta odpowiedzi. A skoro dzięki współpracy, ciągłej dyskusji, hartowaniu poglądów w ogniu krytyki mamy poczucie, że nasze poglądy w wielu kwestiach są po prostu lepsze — dlaczego nie mielibyśmy oczekiwać poważnego dialogu z rządem?

Jesteśmy pozbawieni nabożnego stosunku do „instytucji demokratycznych" w ich obecnym kształcie, przekonania o ich aksjomatycznej roli, cechującego tych, dla których „instytucje demokratyczne" są jednocześnie wystawionym sobie i przez siebie pomnikiem. My nie potrzebujemy pomników. Potrzebujemy systemu, który będzie spełniał nasze oczekiwania: będzie transparentny i sprawny w działaniu. A przywykliśmy do tego, że zmiany są możliwe: że każdy system niewygodny w obsłudze może być zastąpiony i jest zastępowany przez nowy, bardziej wydajny, lepiej dostosowany do naszych potrzeb, dający większe możliwości działania.

Najważniejszą dla nas wartością jest wolność: słowa, dostępu do informacji, kultury. Mamy poczucie, że to dzięki tej wolności sieć jest tym, czym jest — i że obrona jej wolnościowego kształtu jest naszym obowiązkiem wobec kolejnych pokoleń, takim samym, jak ochrona środowiska naturalnego.

Być może nie nazwaliśmy tego dotąd, być może jeszcze sami nie zdajemy sobie z tego sprawy — ale tym, czego chcemy, jest chyba po prostu prawdziwa, realna demokracja. Demokracja, o której być może nie śniło się nawet waszym publicystom.